POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | Dnia 8-go stycznia 1944r. | Rok VI. Nr. 1

NA PROGU

Stanęliśmy na progu Nowego Roku. Jest to pośród lat wojennych, przeżytych przez każdego z nas i przez nas wszystkich, rok najbardziej brzemienny, najcięższy. Najcięższy od oczekiwania i nadziei. Ale równie ciężki od niepokoju i niepewności. Być może najtrudniejszy ze wszystkiego, co z woli losu stało się udziałem zbiorowości polskiej w tej wojnie.

Już tak było wiele razy, że—zdawało się nam—sięgnęliśmy ostatecznej granicy cierpienia, uderzyliśmy głową i obnażonym sercem o samo dno niedoli. Zdawało się nam, że jeśli to i tamto i jeszcze jedno przetrwaliśmy niezłamani, niestarci na miazgę, nierozbici, jak stado od uderzenia piorunu — otwiera się przed nami droga łatwa i prosta, widnokrąg czeka za nią niezaciemniony niczym, jaśniejszy niż kiedykolwiek, błogosławiony, jak zasłużone zbawienie. Oto teraz stajemy u początku ostatniego etapu i nachyla się nad nim ciemność, ciemność głębsza od niejednej z nocy, przez które przechodziliśmy, krwawiąc, pośpiesznie znacząc za sobą mogiły, tracąc wszystko co najcenniejsze, wszystko co najdroższe.

Nie należy tego utajać . Przeciwnie. Trzeba jasno widzieć, że tak jest. Trzeba wiedzieć, że ostatnie stajanie każdej drogi jest najbardziej żmudne. Wymaga największego wysiłku, jakiegoś ostatniego zrywu, czy ostatniego wytrzymania, na które zdobyć się najtrudniej, choć od niego zależeć może wszystko.

Właśnie to: ten nakaz konsekwencji streszcza całość sprawy polskiej u progu roku 1944. W nim, tym nakazie konsekwencji, zawiera się istota naszego stosunku do świata zewnętrznego: do wrogów i do sprzymierzeńców. W nim, w tym nakazie konsekwencji, zamyka się hasło i przykazanie, które wymieniamy między sobą, które obowiązuje nas wszystkich.

Nasze stanowisko w tej wojnie jest jasne i niezmienne od września 1939, wcześniej: od marca tego roku—po dzień dzisiejszy. Jest to stanowisko poparte i podtrzymane przez cały naród z niezachwianą wolą i bezgraniczną ofiarnością. Nie weszliśmy do tej wojny, aby umniejszyć terytorium Rzeczpospolitej, ale aby je utrzymać. Nie weszliśmy do tej wojny, aby zyskać miejsce w systemie wasalnym, ale aby zachować pełną wolność.

Weszliśmy do tej wojny rozumiejąc, że zamach na Polskę, na jej całość, na jej wolność jest zamachem na Europę, jest zamachem na świat. Otrzymaliśmy moralne i formalne upewnienia, iż Europa, zagrożona w swoim bycie, że świat, wyzwany w swojej wierze — podzielają całkowicie polskie rozumienie rzeczy. W obronie tego rozumienia rzeczy padliśmy pierwsi, walcząc sami przeciw sile, przeciwko której dziś, po czterech latach, zmobilizowano siły pięciu kontynentów.

Mieliśmy po wrześniu prawo, przynajmniej teoretyczne, pozostać poza walką, spełniwszy zadanie — jedno z najcięższych, jeśli nie najcięższe. Słusznie jakiś Anglik parę tygodni temu napisał, że "beznadziejny i pozbawiony pomocy opór w r.1939 był w istocie rzeczy bohaterskim warunkiem klęski faszyzmu i hitleryzmu." Spełnienie takiego warunku samo mogło by stanowić i stanowi tytuł do tego, abyśmy nie płacili swoją ziemią kosztów wojny, ani nie stanowili premii dla kogoś, kto wszedł do niej po nas, wtedy, gdy my byliśmy już kombatantem, ociekającym krwią, pierwszym żołnierzem w linii światowego frontu.

A przecież Polska po wrześniu z walki nie wyszła. Nie wystawiła rachunku za oddane usługi. Nie ubezpieczyła się w konkurencyjnej firmie. Gdy jej żołnierze wszystkimi drogami szli na Zachód, by szukać broni i szeregów, Kraj, w którym nie ugaszono jeszcze pożarów, nie usunięto gruzów, powziął postanowienie, że prowadzi wojnę dalej —wojnę cywilną, wojnę nie żołnierzy z żołnierzami, ale wojnę całego narodu ze zbrojną przemocą. I prowadzi ją po dziś dzień. Na jej założenia, zasięg i charakter rzucił po raz pierwszy nieco światła w wigilijnym numerze "Polski Walczącej"— Jan Karski, świadek przytomny i czynny uczestnik życia i walki podziemi polskich.

Nie wolno jeszcze tej walki odsłonić w całej pełni, określić w szczegółach, choć ilość tych szczegółów, wiadoma rządom sprzymierzonym jest bez wątpienia większa od tego co może być podane do powszechnej wiadomości zachodniej opinii publicznej. Jednak w obecnej chwili nie są ważne najbardziej sensacyjne szczegóły, ale ważne jest co innego. Ważna jest nieugięta konsekwencja stanowiska zajętego w r. 1939, bezwzględna, na nic się nie oglądająca wierność polska zasadzie i zobowiązaniu. A przecież trzeba sobie z tego zdać sprawę, że jest to konsekwencja i wierność straszliwie kosztowna, kosztowniejsza jeszcze, bardziej niszcząca, niż jakakolwiek wojna. Straty ludności Rzeczypospolitej przekroczyły już grubo dwa miliony, może bliskie są trzech milionów ludzi. Dwa miliony Polaków, wywieziono do Niemiec, jako niewolników. A ileż ich ciągle jeszcze przebywa w Rosji?

Od pewnego czasu część opinii sprzymierzonych—wierzymy w to: tylko część niewielka—przestała rozumieć ową konsekwencję polską i wszystko, co się z nią łączy i co z niej wynika. Przestała ją cenić. Ba, zaczęła ją poddawać w wątpliwość. Nawet —potępiać.

Jest to sprawa dotkliwa i niezupełnie prosta. Głosy niektórych pism brytyjskich zaskakują nas, ranią głęboko nasze uczucia. Bo dla nas żołnierzy naród brytyjski jest jeden: ten, któremu zawierzyliśmy w r.1939, u którego boku stanęliśmy w czerwcu 1940, gdy był sam, którego bronili nasi lotnicy w czasie *Battle of Britain*, który według najlepszych sił wspierała polska marynarka wojenna i handlowa, który żołnierz polski, ledwie ochłonąwszy z klęski francuskiej, osłaniał, gdy brzegi tych wysp stały otworem dla najazdu.

Starajmy się jednak zrozumieć, że każdy naród i naród brytyjski także składa się z różnych odłamów opinii, że w tym kraju obowiązuje rzeczywista swoboda wyrażania poglądów. Starajmy się także zrozumieć, iż, być może, dochodzi tutaj do głosu różnica temperamentów. Umysłowość brytyjska zdradza niekiedy dążność do doraźnego zażegnania sprawy. My obieraliśmy często i obraliśmy w tym przypadku drogę największego oporu i największej ofiary — w imię nie doraźnej rachuby, ale w imię podstawowej, niezmiennej zasady.

I dlatego, bez względu na odłamy, opinia polska pozostaje i pozostanie na drodze konsekwencji. Pozostanie na niej do końca, w rozumieniu, które nas przenikało w r. 1939, że to jest interes Polski, ale także interes Europy i interes świata. My, którzy cierpieliśmy najwięcej i zapłaciliśmy dotąd najwięcej w krwi i w utracie wszystkiego, co najlepsze, zachowaliśmy przenikliwą pamięć tego, co poprzedziło toczącą się wojnę. Zachowaliśmy pamięć tego, czym to nam, a po nas Europie i światu groziło. Nasza postawa, nasza konsekwencja zdąża do tego, aby to nie powtórzyło się raz jeszcze.

Wyrażają pogląd polski te dwa angielskie ujęcia: "Powinien istnieć jeden tylko wzór dobrego zachowania się międzynarodowego. Nie można stosować zasad Karty Atlantyckiej na Zachodzie, a rozwiązań Piotra Wielkiego czy Suworowa na Wschodzie" (Alastair Forbes w *Daily Mail* z 20 października ub.r.). "Nie jest możliwe żadne rozwiązanie europejskie, które byłoby oparte wyłącznie na sile zewnętrznej, choćby jak najżyczliwiej stosowanej, lecz nie liczącej się z życzeniami lub potrzebami samej Europy. Istnieje siła moralna, tkwiąca w uprawnionych życzeniach i interesach wszystkich narodów europejskich, której nie wolno lekceważyć bez popełniania nadużyć i bez popadania w niebezpieczeństwo." (*Observer*, z 7 listopada ub.r.)

Zaczęty rok nowy będzie widownią nie tylko gigantycznych zmagań wojennych, ale także, na nie mniejszą skalę, zmagań w wymiarze duchowym. Przeciw idei wolności, z którą my i pierwsi alianci weszli do tej wojny będzie stawała prymitywna hypnoza siły materialnej, wielkich obszarów i potencjałów. Przeciw idei równości ludzi i narodów będzie stawało hasło "przewódzstwa" jednych drugim.

Nie jest to megalomania, ale niestety tragiczna prawda, że będziemy stanowić w tym roku probierz wielu rzeczy — *test case*, jak mówi język angielski. Na naszej ziemi staną się aktualne najbardziej złożone, najbardziej zasadnicze zagadnienia tej wojny i pokoju po tej wojnie. Nad ziemią polską przede wszystkim toczyć się będzie ta napowietrzna walka idei, według której ukształtuje się nie tylko nasz los, ale obraz Europy i świata. Dlatego rok ten jest tak brzemienny w oczekiwania i nadzieje, ale także w niepewność i niepokój.

Jakież jest w tym wszystkim miejsce nas, żołnierzy polskich?

Musimy być świadomi, że razem z Prezydentem, Krajem, Rządem, Pierwszym Żołnierzem Rzeczypospolitej my wszyscy i każdy z nas jesteśmy nosicielami, przedstawicielami konsekwencji polskiej. Musimy być tego świadomi głębiej, ostrzej, silniej, niż kiedykolwiek. Od tej świadomości zależy wiele, zależy wszystko, co jest w naszych rękach.

W ciągu tego ostatniego etapu, w który weszliśmy, osaczać nas będzie znużenie, zwątpienie i niecierpliwość—bardziej natarczywie, niż w czasie etapów poprzednich. Bardziej natarczywie, bardziej perfidnie i z wielu stron wciskać się będą pomiędzy nas anonimowe podszepty i podżegania, przychodzić będą niewiadomo skąd fałszywe alarmy i równie fałszywe "dobre wiadomości," na zmianę będzie usiłowała zagarnąć nas panika i nieuzasadniony optymizm. Jak człowiekowi znużonemu dłużyć się nam będzie czas, mylić się będą widoki, mięszać perspektywy. Głośniej brzmieć mogą dla nas głosy ,będące wyrazem doraźnego wyrachowania, niż te, których waga jest rozstrzygająca.

Na to odpowiedzieć musimy wzmożoną czujnością i trzeźwością, napięciem woli i napięciem wiary. I przede wszystkim karnością, bezwzględną dyscypliną wewnętrzną — żołnierską i narodową. Jesteśmy w tej chwili na widoku świata bardziej, niż kiedykolwiek, patrzą na nas wrogowie i przyjaciele, patrzą ci, którzy są niezdecydowani. Nie wolno nam dopuścić do nieodpowiedzialnych odruchów, do samozwańczych protestów, do niekontrolowanej gry emocji — do wszystkiego, co w gruncie rzeczy uczciwe w obecnym położeniu służyło by wrogom, do wszystkiego, co w gruncie rzeczy nieważne, w obecnej sytuacji mogło by doprowadzić do następstw katastrofalnych. Musimy dać wzór jedności polskiej, musimy postawą swoją sformułować nakaz bezwzględnej jedności polskiej w obliczu śmiertelnej walki—o wszystko. Nie mogą mieć do nas dostępu żadne partykularyzmy, interesy, punkty widzenia grup, odłamów, orientacji. Jakkolwiek uprawnione i słuszne, wszystkie są jednakowo zagrożone.

"Żołnierzowi, który walczy, pomści i odbuduje Ojczyznę" — taką dedykację zawiera wstrząsająca książka "Z pierwszej linii frontu," wydana konspiracyjnie w Kraju, świeżo przedrukowana przez glasgowską "Książnicę Polską." Bądźmy godni tego wezwania u progu roku, który niesie walkę ostateczną, sprawiedliwą pomstę i nadzieję budowania sprawiedliwego pokoju. U progu, za którym otwiera się dom ojczysty — ziemia bolesna, ziemia obiecana, droższa nad wszystko.

TYMON TERLECKI

OTTO MACIĄG: Do stajenki



Szkic sytuacyjny

OFENSYWA SOWIECKA

Wojska sowieckie przystąpiły do nowej akcji zaczepnej. Nie sposób ocenić dzisiaj jakimi siłami podjęto tę nową ofensywę. Nie wiemy również, czy po akcji sowieckiej nie przyjdzie jakieś niemieckie przeciwnatarcie. Dzisiaj dopiero wychodzi na jaw, że wojska niemieckie dokonały kontr-ofensywy, która odbiła szereg przedtem już zajętych miejscowości, jak n.p. Żytomierz. Czy te ataki miały na celu ścięcie "języka" sowieckiego wysuniętego na zachód, czy też tylko zyskanie na czasie, ażeby wojska niemieckie mogły *cofać się* spokojnie — nie wiemy.

W każdym razie wydaje się, że jeżeli celem ofensywy niemieckiej było ponowne zdobycie Kijowa, to zadanie to nie powiodło się. Czy istotnie stoimy w przededniu załamania się całego niemieckiego systemu obrony na południu trudno orzec. Przedwczesne przesądzanie wyników na jedną czy drugą stronę okazało się w odniesieniu do frontu wschodniego bardzo zawodne.

Tempo sowieckiego pochodu wydaje się nieco powolniejsze, aniżeli to sugerują komunikaty Moskwy. Najlepszym dowodem tego jest fakt, że dn.1. stycznia pisma brytyjskie mówiły, iż "wojska czerwone są w odległości 10 mil od/dawnej/ granicy polskiej," a dnia 2. stycznia "wojska sowieckie w odległości 27 mil od /dawnej/ granicy polskiej." To "*dawnej*" pojawia się coraz częściej na łamach prasy brytyjskiej. Dn.2 stycznia pisma brytyjskie przynoszą treść radiowego apelu Moskwy do Republiki Białoruskiej, który zapowiada oswobodzenie "całej Białorusi," w tym miast takich, jak Baranowicze, Grodno, Brześć Litewski.

Równocześnie źródła neutralne potwierdzają wcześniejsze doniesienia jakie nadeszły okólnymi drogami z Polski, że cały Kraj roi się od wojsk niemieckich, że olbrzymie odwody ludzkie i transporty broni podciągane są na front. Wydaje się, że totalna mobilizacja w Rzeszy dała już wyniki i że nowe dywizje niemieckie rzucane są do walki. Wydaje się również, że *Rzesza uczyni wszystko, ażeby wzmocnić front wschodni.* Nic nie wskazuje na to, ażeby żołnierz niemiecki wykazywał zmniejszoną wolę walki. Sprawozdawca wojskowy "*Timesa*" powiada, że "żołnierz niemiecki walczy na Wschodzie zażarcie."

Należy oczekiwać zatem dalszych ciężkich walk, przy czym wojska niemieckie ustępować będą stale ale powoli. Pod Leningradem nie ustępują one jeszcze, przeciwnie, artyleria niemiecka jest tam znowu czynna. Trzymają się one jeszcze na Krymie. *Południe usuwa się najszybciej, ale mimo to byłoby lekkomyślnością wnioskować, że system niemiecki na Wschodzie już się rozpada.* Armia niemiecka opanowuje olbrzymie trudności. Parcie sowieckie utrzymywane jest stale, ale strona sowiecka rzuca do walki rezerwy dwa razy większe, a przewaga sprzętowa wojsk rosyjskich jest również niewątpliwa.

Trudno obliczyć tempo posuwania się sowieckiego. Zależne jest ono od pogody, od siły obrony niemieckiej, od ilości rezerw, jakie strona rosyjska rzuci do boju. Na wiosnę r. 1944 -ego walki mogą już się toczyć na obszarze Polski. Pierwsze wtargnięcie wojsk sowieckich na teren Polski może przyjść od strony błot Prypeci oraz od strony Połocka. Przypuszczać wolno, że obrona niemiecka na tych obszarach będzie bardzo zacięta. Nie znaczy to bynajmniej — jak to staraliśmy się podkreślać wielokrotnie na tych łamach, ażeby obrona niemiecka nie wahała cofać się jeszcze dalej. Wzory bitwy mazurskiej i warszawskiej pozostają dalej w pamięci sztabu niemieckiego.

RAF NAD RZESZĄ

Uderzenia lotnicze na Rzeszę utrzymywane są w dosyć kapryśnych odstępach. Wydaje się, że ataki dzienne, przeprowadzane przez lotnictwo U.S.A. z baz brytyjskich, są coraz to częstsze. Stanowi to niewątpliwy wstęp i przedsmak uderzeń inwazyjnych.

Zniszczenie ośrodka berlińskiego postępuje. Jak słusznie wskazują sprawozdawcy pism neutralnych, którzy przybyli niedawno z Berlina, miasto to "warto atakować." Miasto to bowiem jest "najbardziej cyniczne" z miast Rzeszy, brak tam "zapału dla idei narodowo-socjalistycznej i to już oddawna," poza tym "miasto to uważało się zawsze za bezpieczne i nie odczuwało niedoli miast zachodniej Rzeszy." *Uderzenia zatem lotnicze w Berlin "dotykają najbardziej czułego miejsca kraju, kierują się w centrum najbardziej podatne na defetyzm."*

POSTĘPY WE WŁOSZECH

Są one niezmiernie wolne, liczą się niemal na setki metrów. Dzisiaj pisma brytyjskie przyznają otwarcie, że "zdobycie Rzymu nie przyjdzie szybko." Powodem jest duża koncentracja wojsk niemieckich. *Jest pono dzisiaj blisko 25 dywizyj niemieckich we Włoszech.* Lotnictwo sojusznicze ma przewagę ale jeszcze nie tak druzgocącą ażeby narzucić ofensywę. Poza tym Niemcy mają dobre stanowiska obronne, teren im sprzyja, to też trzeba ich wykurzać z ich stanowisk dom po domu, szczyt po szczycie, przełęcz po przełęczy. Artyleria sojusznicza zwala straszliwe ładunki pocisków na niewielkie przestrzenie. Wyniszczenie ziemi włoskiej, przewidywane na tych łamach parokrotnie, będzie olbrzymie. Jeżeli będziemy się posuwać w tym tempie, to poza Rosją, Włochy będą najbardziej zniszczonym krajem w tej wojnie.

Stąd nasuwa się wniosek, że przygoda włoska nie prowadzi do sukcesu, nie prowadzi do celu. Raczej zarysowuje się ona pod względem militarnym jako ślepa uliczka.

ATAK "ZE WSZYSTKICH STRON ŚWIATA"

Dlatego wydaje się, że atak "ze wszystkich stron świata," jak zapowiedział Roosevelt jest koniecznością. Dopiero wtedy, gdy forteca europejska Hitlera zostanie ujęta w obręcz, kiedy ze wszystkich stron będą spadać ciosy, może się odcinek włoski ożywić.

Inwazja całego kontynentu i to zarówno od linii wybrzeża, od strony wody, jak i na tyłach, przyniesie dopiero warunki, kiedy armia niemiecka zatrzeszczy od wysiłku trzymania tylu frontów.

Opinia niemiecka jest najwyraźniej zaniepokojona tą perspektywą. Dlatego to zapewne wszystkie pisma i rozgłośnie radiowe Rzeszy powiadają, że "przyjęcie jakie zgotujemy lądującym aliantom będzie gorące." Dlatego noworoczna proklamacja Hitlera powiada, że "zrównoważenie sił niemieckich zostało osiągnięte," że kryzys, jaki nastąpił po upadku Mussoliniego został zażegnany i że Rzesza gotowa jest na przyjęcie ataku.

PRZYGOTOWANIA DO INWAZJI

Rok 1944-*ty będzie rokiem inwazji.* Jest to jasne nie tylko z zapowiedzi, nie tylko z obrad na Bliskim Wschodzie, ale z pewnych posunięć wojskowych. Zatopienie "Scharnhorsta" na wodach polarnych sprawia, że ze strony floty wojennej Rzeszy niewiele dzisiaj już grozi Anglii i że jednostki brytyjskie i amerykańskie w razie szturmu na fortecę Europy będą miały ułatwione zadanie. Podobnie usunięcie eskadry niemieckiej przez zatopienie trzech jednostek i porażenie innych w Zatoce Biskajskiej, przyczynia się do tego wymiatania mórz w bezpośrednim sąsiedztwie wysp brytyjskich, wymiatania, które jest koniecznym wstępem do inwazji.

Manewry, jakie przeprowadza armia amerykańska stacjonowana na wyspach brytyjskich oraz w Ulsterze dowodzą, że *armia USA będzie odgrywała wielką rolę w ataku.* Nie wiemy jaki procent swoich sił da ona, ale wszystko wskazuje na to, *że procent ten będzie większy, aniżeli sił brytyjskich.*

Straty, jakie armie inwazyjne poniosą mogą być znaczne, nie tylko dlatego, że obrona niemiecka będzie ostra, ale i dlatego, że wojska sojusznicze natrafią na bardzo twardy element. Będą one zatem zyskiwały *doświadczenie wojenne w miarę posuwania się od brzegu, a wiadomo, ile kosztuje takie doświadczenie.*

Nominacje na stanowiska dowódców sojuszniczych wskazują, że lotnictwo odegra wielką rolę w najeździe kontynentu. Przypuszczać wolno, że atak na twierdzę europejską otwarty zostanie wczesną wiosną serią wypadów czyli *sorties* na Europę; takich *sorties* może być setki dziennie. Rąbanie bombami brzegów Francji, Belgii, Holandii będzie metodyczne, kilometr po kilometrze. *Trzeba liczyć się z niszczeniem brzegów, zrównywaniem z ziemią obrony fortyfikacyj niemieckich.* Te umocnienia są napewno poważne toteż nawet po zniszczeniu stanowisk nadziemnych trzeba będzie jeszcze uprzątać stanowiska podziemne.

Przypuszczać wolno, że Rzesza zgromadzi już dzisiaj wielkie rezerwy lotnicze, celem paraliżowania wypraw bombowych i że pościgowce niemieckie przystąpią do parowania tych ciosów. Ale nic nie zdoła zatrzymać bombardowania sojuszniczego.

Czy jednak metoda taka będzie odpowiednio szybka? Raczej przypuszczać by należało, że będzie ona dość wolna. Niszczenie brzegu naprzód przez lotnictwo, potem przez lotnictwo i artylerię—gdy zdobędzie się przyczółki—jest zadaniem powolnym. Jeżeli przyjąć, że atak lotniczy rozpocznie się n.p. 1-ego marca, to dopiero po jakichś trzech miesiącach można by liczyć na uzyskanie przyczółka Normandii i Flandrii. Wszystko zatem zależy od tego, czy *po uzyskaniu przyczółków na brzegu Francji, Belgii i Holandii* zdołamy rzucić do walki takie zastępy pancerne, ażeby zmiotły one zapory, poraziły niemieckie armie i wdarły się licznymi zagonami w kraj.

Obrona niemiecka na obszarze Francji, Holandii, Belgii jest napewno poważna. Linia Zygfryda może również odegrać swoją rolę w tej wojnie — za drugim niejako nawrotem. Części Linii Maginota mogą tak samo być pożyteczne dla Rzeszy.

Jednym słowem zadania ataku będą nieludzko wprost trudne. Wojska niemieckie będą się broniły, a ich stanowiska obronne będą liczne. Oceny amerykańskie ogłoszone dnia 2. stycznia podkreślają, że "*Rzesza ma środki dla prowadzenia przewlekłej wojny obronnej.*"

Jeżeli jednak armie niemieckie będą mniej twarde w obronie, aniżeli przypuszcza się — albowiem rachuba niemiecka jest już dzisiaj tylko rachubą na przeciąganie zmagań — jeżeli będą one usuwały się to dowodziło by to, że Rzesza zamierza trzymać za wszelką cenę front wschodni, a daje do rozumienia, że kapituluje pocichu na Zachodzie. Tego rodzaju możliwość istnieje, chociaż w danej chwili wszystko raczej wskazuje na to, że armie Rzeszy będą się biły.

Wojnę można zakończyć w roku 1944-tym, jeżeli uderzy się mocno, mądrze. To wszystko, co da się dzisiaj powiedzieć. Rok 1944-ty powinien być rokiem końcowym. Czy będzie—zależne to od wielu czynników, których dzisiaj przewidzieć jeszcze nie sposób.

Londyn, dnia 2 stycznia 1944.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Wojna na morzu

LEKCJA HISTORII

Historycy zgodnie twierdzą, że między Napoleonem a realizacją jego idei — hegemonii Francji nad światem — stanęła tylko jedna przeszkoda: brak odpowiedniej Marynarki Wojennej.

Dziś historia daje nam do zrozumienia, że między Hitlerem a realizacją jego "Nowego Porządku" stanął również brak odpowiedniej Siły Zbrojnej na Morzu. W piątym roku wojny łatwo to sobie uprzytomnić, choćby z następujących faktów:

1/ obrócenie w niwecz planu inwazji Anglii;

2/ niemożność przyjścia z pomocą skuteczną Włochom w Abisynii i w Libii;

3/ niemożność uzyskania bezpośredniej łączności z Japonią;

4/ atak na Rosję, wykonany pod przymusem blokady brytyjskiej /brak surowców strategicznych/;

5/ utrata Afryki, Sycylii i Włoch południowych, a stąd zagrożenie wszystkich pozycji niemieckich w basenie śródziemnomorskim.

Możnaby jeszcze dodać, że gdyby nie Royal Navy, to Lotnictwo Sprzymierzone nie zdołałoby osiągnąć poziomu potrzebnego do opanowania powietrza, bowiem poziom ten był zależny w olbrzymim stopniu od dowozu drogą morską personelu, sprzętu, zasobów, materiałów pędnych i t.d. Marynarka dała Lotnictwu czas, transport i warunki potrzebne do rozwoju.

Wszystkie lądowe sukcesy Hitlera nie przyniosły mu strategicznego rezultatu, na który liczył: ostatecznego zwycięstwa. Tak jak nie przyniosły go w ubiegłej wojnie Wilhelmowi II, jak przedtem Napoleonowi, jak tylu innym. Panowanie na morzu stanowiło bowiem i stanowić będzie o losach państw i narodów. Bez panowania na morzu nie ma zwycięstwa.

Oczywiście — panowanie na morzu można rozumieć różnie. W jednym wypadku może to być bezwzględna potęga oceaniczna. W drugim panowanie lokalne na morzu wewnętrznym, oparte o silnego sojusznika na zewnątrz. Tak czy inaczej, mimo wszelkich zmian techniki i taktyki, odwieczna zasada "navigare necesse" nie zmieniła się od czasów Cycerona. Zdanie biskupa Solikowskiego z r.1582 — "kto morza swego zaniedbuje, albo nie broni, albo innym w pożytek oddaje, ten wszystkie korzyści od siebie oddala, a wszystkie biedy na się przywodzi, z wolnego niewolnikiem się staje, z bogatego ubogim" — nic nie straciło na aktualności.

Postępy techniki zrewolucjonizowały taktykę na lądzie i doprowadziły do stworzenia szybkobieżnych ugrupowań jakościowych, przenosząc w dół pojęcie jednostki taktycznej wyposażonej we wszystkie bronie i służby. Na morzu zmiany miały raczej ewolucyjny charakter. Przeciwnie, to ląd, szczególnie w dziedzinie broni pancernej, przyswoił sobie wiele z taktyki morskiej. Na morzu nie trzeba było tworzyć takich ugrupowań jakościowych, bo istniały one oddawna w postaci zespołów okrętów. Okręt był zaś — niemal od jego stworzenia — samodzielną i ruchliwą jednostką taktyczną, wyposażoną we własne bronie i służby.

Połączenie taktyczne i operacyjne Marynarki z Lotnictwem nastąpił również drogą ewolucji i bez większych wstrząsów czy tarć. Kto mówi dziś "Marynarka" ten oczywiście ma na myśli pełnowartościowe taktycznie zespoły morsko-powietrzne. Bowiem Lotnictwo nie tylko nie umniejszyło znaczenia Marynarki, ale wzmogło znacznie jej możliwości operacyjne. Jeśli dawniej huk dział okrętowych odbijał się echem strategicznym daleko w głębi lądu, to dziś Lotnictwo Marynarki sięga tam bezpośrednio—operacyjnie.

Lekcje Historii są jasne: Dziś więcej niż kiedykolwiek każdy dostęp na morze musi oprzeć się o Siłę Zbrojną na nim. Inaczej kraj, choćby nawet nie wiem jak silny na lądzie — będzie mógł tylko trwać w obronie strategicznej bez nadziei zwycięstwa i ze wszystkimi zgubnymi skutkami, wynikającymi z panowania przeciwnika na morzu.

Prawda ta dotyczy zarówno wojny, jak pokoju.

PROWIZORYCZNY BILANS

Trudno jeszcze dać całość osiągnięć Polskiej Marynarki Wojennej w ostatnim roku. Okręty pływają, nieraz na bardzo dalekich wodach, szczegóły nadchodzą powoli. Oto parę faktów i cyfr:

Polska Mar. Woj. działała w r. 1943 na czterech teatrach operacyjnych:

1/ W kanale La Manche i na Morzu Północnym.

2/ Na wodach Arktycznych,

3/ Na Atlantyku /aż poza Równik/,

4/ Na Morzu Śródziemnym.

W akcjach tych zatopiono według wszelkiego prawdopodobieństwa kilka nieprzyjacielskich okrętów podwodnych, 2 ścigacze, okręt obrony przeciwpodwodnej, 30 statków transportowych różnych typów, oraz zestrzelono conajmniej 7 samolotów. Z własnej strony stracono kontrtorpedowiec "Orkan."

Od początku działań na wodach brytyjskich do 1 listopada 1943 polskie okręty wojenne przepłynęły około 800.000 mil morskich /1 i pół wiliona kilometrów/. Brały udział u boku Royal Navy we wszystkich ważniejszych operacjach, w szczególności zaś w bitwie o Atlantyk, w desantach na Sycylii i pod Salerno, w operacjach pod Korsyką, na Adriatyku i Morzu Egejskim.

Szczupłe siły Polskiej Marynarki Wojennej potrafiły tedy dwoić się i troić, ukazując banderę polską w każdej ważniejszej potrzebie, i sprawiając, że wkład Polski w walce o wolność Narodów obejmował dalekie teatry operacyjne, gdzie przedtem o Polsce nikt nie słyszał.

Jeśli taktycznie i operacyjnie okręty polskie spełniły ponad wszelkie spodziewania swe zadanie, to jeszcze większy bodaj będzie wpływ polityczny tych poczynań. Polska Marynarka Wojenna nie tylko walczyła bez przerwy w szeregach sprzymierzonych, ale stała się ogniwem, wiążącym wysiłki innych części Polskich Sił Zbrojnych w jedną całość.

Oczywiście, to co posiadamy teraz nie stoi w żadnej proporcji do realnych potrzeb odbudowanego Państwa Polskiego. Gdy godzina pokoju wybije, nie możemy powtarzać błędów 1918-20 roku. Musimy sięgnąć śmiało po przypadający nam udział z pobitych flot "osi." Musimy wykorzystać inwestycje niemieckie na wybrzeżu dla rozbudowy własnej floty.

CZARNY TYDZIEŃ MARYNARKI HITLERA

Brytyjska Home Fleet, z dodaniem silnej eskadry amerykańskiej przeprowadziła dwukrotnie dłuższe operacje na Dalekiej Północy, aż do wyspy Niedźwiedziej włącznie. Celem ich było wyciągnięcie floty niemieckiej z jej kryjówek norweskich. Ale Doenitz nie odważył się na wydanie bitwy, chociaż miał za sobą bazowane na brzegach Norwegii własne lotnictwo.

I oto, co nie udało się drogą normalnej podnięty do boju, to wynikło ze zwykłej niemieckiej "chciwości" łatwego sukcesu: tak jak samoloty niemieckie rzucały się w Polsce na bezbronną ludność, tak w dniu 26.XII — "Scharnhorst," z kilkoma kontrtorpedowcami, rzucił się pod dowództwem kontr-admirała Bey, na konwój brytyjski zdążający do Rosji.

Ale konwój był broniony tym razem nie tylko przez kontrtorpedowce. Trzy eskortujące go krążowniki — "Norfolk," "Sheffield" i "Belfast" —przyjęły bój, tak jak przed laty "Exeter," "Ajax" i "Achilles" wykończyły w ujściu La Plata pancernik "Graf Spee." Tylko, że tym razem przeciwnik — "Scharnhorst" — był znacznie silniejszy i szybszy /"Graf Spee — 10.000 ton, 28 węzłów, 6 dział 280 m/m i 8 — 150 m/m, — "Scharnhorst" 26.000 ton, 32 węzły, 9 dział 280 m/m i 12 — 150 m/m/.

"Scharnhorst" zawrócił. Eskortujące go okręty lekkie zawieruszyły się gdzieś w nocy polarnej. Krążowniki brytyjskie osłaniały konwój i trzymały kontakt.

Po 3 godzinach "Scharnhorst" powrócił do ataku — tym razem sam zupełnie. Nastąpiła gorąca wymiana strzałów. "Norfolk" otrzymał postrzał w rufę, "Scharnhorst" w jedną z wież. Zawrócił ponownie.

Wówczas natknął się na eskadrę dowódcy "Home Fleet," admirała Fraser, złożoną z pancernika "Duke of York," krążownika "Jamaica" i 4 kontrtorpedowców /w tym 1 norweski/.

Nie mogąc dogonić umykającego z szybkością 32 węzłów przeciwnika, admirał Fraser wysłał do ataku kontrtorpedowce. Z szybkością 35 węzłów rzuciły się one w nocny bój na arktycznym morzu, gdzie przy takim pędzie i fali wszystko na pokładzie zamarza. Mimo to osiągnęły 3 trafienia torpedami i na tyle uszkodziły pancernik, że "Duke of York" mógł się zbliżyć na donośność swych dziesięciu dział 356 m/m. Po kilkunastu salwach, krążownik "Jamaica" wykończył "Scharnhorsta" torpedą, podczas gdy jeden z kontrtorpedowców oświetlał go reflektorem. Tylko kt. "Saumarez" odniósł nieznaczne uszkodzenia.

Z bitwy tej można na razie wysnuć następujące wnioski:

1/ W pomyślnych okolicznościach torpeda na okręcie nawodnym jest wciąż jeszcze bronią pewną i skuteczną. Dążności do skasowania wyrzutni torpedowych na kontrtorpedowcach i krążownikach powstały z powodu trudności nawodnego ataku torpedowego w dzisiejszych warunkach. Bitwa pod Nordkapem wykazała, że tendencje te były przedwczesne.

2/ Nawet w pobliżu brzegów lotnictwo nie zawsze może współdziałać z marynarką, względnie współdziałanie jego może być niewystarczające. Warunki na Bałtyku nie bardzo odbiegają od warunków na morzu Norweskim jeśli chodzi o widoczność, stan morza i inne czynniki atmosferyczne.

3/ Przerzucenie części nawodnych sił niemieckich do Norwegii stało się grobem tych sił /uszkodzenie "Tirpitza," zatopienie krążownika i 11 kontrtorpedowców, uszkodzenie lub unieruchomienie kilku innych okrętów/.

W ten sposób wykonanie przez Hitlera i Doenitza słynnego planu admirała Wegenera z ubiegłej wojny, polegającego na przerzuceniu baz floty niemieckiej na morza otwarte /Norwegia, Francja/ — zawiodło na całej linii. Rzecz prosta, to co było wykonalne dla "Hochsee-Flotte" Wilhelma II, stanowiącej ponad 3/5 floty brytyjskiej, której część rozsiana była na dalekich morzach, — to samo było już niewykonalne dla znacznie szczuplejszych sił Trzeciej Rzeszy. W ten sposób plan dobry w roku 1916 okazał się zgubny w latach 1939 — 1943. A okręty niemieckie, przesunięte do ekscentrycznych baz, mają dziś w dużym stopniu odcięty odwrót.

Ciekawe, że "Scharnhorst" starał się, widocznie dla zmylenia pogoni ujść w kierunku wschodnim i zatonął 60 mil na północny wschód od Nordkapu, prawie cała załoga /około 1400 ludzi/ zginęła w lodowatej wodzie.

Nie na tym koniec. 27 i 28 grudnia krążowniki brytyjskie, "Glasgow" i "Enterprise" /ten ostatni budowy 1919 roku/, pospołu z samolotami obrony wybrzeża, wykonały operację wskutek której zatopiono w zatoce Biskajskiej niemiecki łamacz blokady /uzbrojony statek handlowy 5.000 ton/, zdążający z Japonii do Francji z bezcennym ładunkiem surowców strategicznych, wnet zaś po tym trzy z dążących mu na pomoc jedenastu niemieckich kontrtorpedowców. Zestrzelono też samolot nieprzyjacielski, tracąc 2 własne. "Glasgow" odniósł nieznaczne uszkodzenia.

Okręty niemieckie, sparaliżowane działalnością lotnictwa, działały mimo przewagi taktycznej niezdecydowanie i w końcu wycofały się w popłochu. Bitwa w zatoce Biskajskiej jest typowym przykładem idealnego współdziałania po stronie brytyjskiej Marynarki i Lotnictwa; przyczem nie bez znaczenia jest fakt, że startujące ze znacznie bliższych baz samoloty niemieckie musiały się wycofać na skutek akcji lotnictwa Sprzymierzonych, pozostawiając własne okręty na łup wroga.

Z obydwu bitew, zestawiając śmiały atak kontrtorpedowców brytyjskich pod Nordkapem z niezdecydowanymi działaniami kontrtorpedowców niemieckich na Biskaju, oraz wgłębiając się w dość dziwną taktykę "Scharnhorsta" i jego eskorty, — wysnuć można jeszcze jeden wniosek:

Coś się psuje w wartości bojowej okrętów nawodnych Hitlera.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

O.R.P. Sokół przyniósł Polsce wspaniałą Gwiazdkę. Zatopił na Morzu Śródziemnym 2 transportowce 8.500 ton/ i 5 żaglowców npla, biorąc przytem pewną ilość jeńców.

JULIAN GINSBERT

Podziemna opinia publiczna



Nagłówek organu Pełnomocnika Rządu R.P. na Kraj

Poza formami organizacyjnymi życia konspiracyjnego w kraju, które objęliśmy nazwą: "polskie państwo podziemne"* istnieje cały szereg drobniejszych słabszych lub silniejszych, przeważnie lokalnych organizacji, lub grup o charakterze politycznym, społecznym, gospodarczym, religijnym, samokształceniowym, poetyckim i t.d., i t.d. działających nielegalnie w podziemiach. Każdy z tych ośrodków ujawnia swoje istnienie przede wszystkim przez publikacje tajne: pisma, broszury, książki i t.d. Wiele z nich zajmuje się planowaniem na przyszłość, rozbiorem sytuacji międzynarodowej, rozważaniami programowymi. W sumie stanowią one to, co nazywa się w normalnym życiu opinią publiczną. Rozpiętość ich pod każdym względem zarówno politycznym, jak i organizacyjnym jest bardzo duża.

PRASA TAJNA

Istnienie tak olbrzymiej ilości wydawnictw podziemnych należy przypisać przede wszystkim wielkiemu zróżniczkowaniu tych, t.zw. *luźnych ośrodków*. Dość powiedzieć, że w polskim ruchu podziemnym istnieje ponad 140 regularnie ukazujących się pism. W samej Warszawie istnieje ponad 85 pism tajnych, t.zn. znacznie więcej, niż istniało przed wojną, w normalnych warunkach życia państwowego.

Podobno Chińczycy najlepiej walczą, gdy znajdują się w sytuacji beznadziejnej, otoczeni ze wszystkich stron przez wroga. Nigdy nie przypuszczałem, iż tego rodzaju umysłowość może w ogóle istnieć. Nigdy przed wojną nie przypuszczałem, iż człowiek może walczyć czy pracować lepiej w sytuacji najtrudniejszej czy nawet beznadziejnej, aniżeli w warunkach normalnych. Ta wojna wykazała, iż odnosi się to całkowicie do nas.

Istotnie, gdy wszystko zawiodło, gdy społeczeństwo zostało zakute w więzy terroru niemieckiego, gdy za najnormalniejszy przejaw działalności do którego ma prawo najzwyklejszy śmiertelnik w warunkach normalnych, obecnie grozi kara śmierci czy tortury w podziemiach Gestapo—Polacy rozwijają przebogatą, różnorodną działalność, ogromną inicjatywę, fantazję, pomysłowość. Nawet w codziennych kontaktach, rozmowach, współpracy w "działalności publicznej" — można widzieć większą sprawność, większą dyscyplinę, większą solidarność, aniżeli w czasach przedwojennych i /niech mi wolno to będzie powiedzieć/ na emigracji. Nawet w codziennej pracy ludzie działający w Kraju są solidniejsi, punktualniejsi, prawdomówniejsi, uczynniejsi, i serdeczniejsi wzajemnie—niż byli czy też byliby w zwyczajnych warunkach bezpieczeństwa i dobrobytu.

Trudno było by określić skąd ruch podziemny zdobywa możliwości na tak bogatą działalność wydawniczą. Trudno było by określić skąd zdobywa maszyny drukarskie, papier, specjalistów, możliwości lokalowe. Historia ruchu podziemnego ujawni to kiedyś w przyszłości i niewątpliwie zadziwi niejednego z Polaków, którym nie było dane być członkiem tej cudownej machiny. Tu okazuje się najbardziej jak zupełnie niczym nieograniczona jest, jak żadnym trudnościom nie daje się powstrzymać i zniechęcić pomysłowość i zdolność, fantazja i zmysł ryzyka Polaka.

Czy nie dziwny jest fakt, że pewne pismo przez długi okres czasu drukowane było na wykwintnym japońskim papierze? Czyż nie jest dowodem szaleńczego lecz romantycznego ryzyka, iż inne pismo drukowane było w wielkości londyńskiego *Times'a?* Że redakcja tego pisma w pierwszym artykule wstępnym podała do wiadomości czytelnikom, iż "przyjęła ten niekonspiracyjny i niebezpieczny format, ponieważ po długich rozważaniach zdecydowała się . . . nie spotrzegać niemieckiego okupanta, i nie spostrzegać . . . Gestapo." Czyż nie dziwny jest fakt, iż ukazują się w prasie tajnej wspaniałe, trójbarwne fotografie? Że ukazują się nowe wydania kilkusetstronicowych dzieł polskiej literatury klasycznej, że wydaje się nowe modlitewniki, podręczniki szkolne?

Jakże dziwnie wygląda teraz w moich oczach wspomnienie tego pisma, które po "wpadunku," po wystrzelaniu całej redakcji w ruinach Warszawy z zastrzeleniem redaktora naczelnego włącznie, wydało następny numer na cyklostylu, nędznym papierze, bez korekty . . . i "przepraszając najuprzejmiej czytelników, iż ze względów niezależnych od redakcji obecny numer nie ukazuje się w tej samej szacie zewnętrznej, do której czytelnicy są przyzwyczajeni . . ."

Czyż nie ma dużo kawalerskiej fantazji u redaktorów tego pisma, które wyliczywszy w jednym z artykułów wszystkie zbrodnie popełnione przez generalnego gubernatora Francka i podając w konkluzji, że powinien on po wojnie zostać skazany na śmierć przez międzynarodowe organy sądowe, zakończyło swój oskarżający artykuł w sposób następujący: "A teraz z prawdziwą przyjemnością informujemy naszych czytelników, iż niniejszy numer posłaliśmy specjalną pocztą poleconą panu Generalnemu Gubernatorowi Franckowi do Krakowa. Wychodziliśmy bowiem z założenia, iż było by nie *fair*, gdyby nie zapoznał się z tymi wszystkimi oskarżeniami, które polski ruch podziemny wytoczy mu po wojnie. Być może, że tak zagrząził w swej zbrodniczości, iż stracił jej miarę, i działa w nieświadomości swej winy."

Mówiąc o prasie podziemnej nie sposób nie zwrócić uwagi na ogromną rolę i olbrzymie miejsce, jakie w prasie tej zajmuje poezja. W każdym numerze pisma, w każdym wydawnictwie nawet najpoważniejszym jest miejsce szczególnie honorowe dla tego wszystkiego, co ludzkie serce i geniusz poety w pięknym słowie wypowiedzieć potrafi. Niektóre poezje, niektóre wiersze, które w młodzieńczych latach wykuwało się bezmyślnie na pamięć w szkole—nabierają teraz szczególnego blasku i szczególnych wartości.

CHARAKTERYSTYKA PRASY TAJNEJ

Wszystkie ośrodki polityczne i wszystkie organizacje pracujące w ruchu podziemnym mają swoje pisma—wiele grup politycznych posiada po kilka pism.

Większość prasy tajnej stanowią tygodniki—jest kilka pism ukazujących się w odstępach trzydniowych. Doświadczenie wykazało że zbyt uciążliwe i zresztą niepotrzebne byłyby d z i e n n i k i t a j n e.

Zresztą już od początku 40 roku ponawiane były próby wydawania podziemnych d z i e n n i k ó w. Próby te jednak zostały zarzucone. Nie tylko ze względu na niebezpieczeństwa techniczne, ale ze względu na brak zapotrzebowania na tego rodzaju wydawnictwa. Naturalnie, zagadnienia dzienników nie należy mieszać z c o d z i e n n y m i biuletynami radiowymi, które ukazują się we wszystkich ośrodkach organizacyjnych na terenie całej Polski. W Warszawie biuletyn radiowy Pełnomocnika Rządu ukazuje się nawet dwa razy dziennie stanowiąc a u t e n t y c z n y tekst informacji o świecie.

Niektóre z pism ukazują się na kredowym czy japońskim papierze z wielobarwnymi ilustracjami — pisma o charakterze oficjalnym posiadają bardzo starannie przeprowadzane korekty. Należy wziąć pod uwagę, że przeprowadzenie korekty w warunkach polskich stanowi praktycznie podwojenie niebezpieczeństwa i ryzyka. W pismach tych nie znajdzie się dosłownie ani jednego błędu nie tylko drukarskiego—ale nawet stylistycznego. Język tych pism jest staranny, wypielęgnowany jak gdyby, gładki. Piszę o tym nie bez pewnej złośliwości, mając przed oczyma niektóre z pism emigracyjnych, których polszczyzna tak często i tak wiele pozostawia do życzenia.

Kolportaż prasy tajnej, który jak wiadomo, stanowi szczególnie bohaterski i pasjonujący odcinek pracy podziemnej działa sprawnie. Pamiętać jednak należy, że każde nowe wydanie pisma, nim dojdzie do wszystkich punktów przeznaczenia nieuchronnie powoduje ofiary w ludziach. Bez przesady powiedzieć można, iż każdy numer pisma tajnego oblany jest krwią polską.

Scharakteryzuję w tym artykule kilka pism centralnych, odkładając do następnej sposobności informacje o pismach najważniejszych ugrupowań politycznych.

Oficjalny charakter posiada tygodnik "Rzeczpospolita Polska." Jest to organ tak zwanego Czynnika Miarodajnego. Artykuły oraz opinie drukowane w tym piśmie mają za sobą autorytet władz rządowych. Zarządzenia, rozporządzenia, oraz wskazówki mają charakter rozporządzeń, oraz zarządzeń władz państwowych. Wszystkie zarządzenia, wydawane przez władze wojskowe, Kierownictwo Walki Podziemnej /dawnej Kierownictwo Walki Cywilnej/ nim nabiorą mocy obowiązującej, muszą być wydrukowane w tym organie. Nie trzeba dodawać, że pismo to ma poziom europejski—jego szata zewnętrzna jest szczególnie staranna. Ono stanowi autorytatywne źródło wiadomości o polityce Rządu, o sytuacji międzynarodowej, o zachowaniu się społeczeństwa zarówno wobec jawnych jak i ukrytych wrogów, pokrywa wszystkie ziemie polskie objęte granicami państwowymi 1-go września 39-go roku.

Drugim pismem mającym charakter oficjalny są "Wiadomości Polskie." Jest to organ Komendy Armii Krajowej.

Pism Armii Krajowej jest więcej. Szczególnie ciekawe tu są "mutacje prowincjonalne" pism centralnych. Do organów centralnych zalicza się jeszcze najpopularniejszy w społeczeństwie i mający niewątpliwie największy nakład" Biuletyn Informacyjny." Specjalny charakter posiada "Insurekcja"' zajmująca się wyłącznie techniczno-organizacyjną stroną aktywności Armii Krajowej. Piękny charakter posiada pismo /także organ wojskowy/ "Żołnierz Polski." Wydawnictwo to zajmuje się prawie wyłącznie rozbiorem kampanii wrześniowej posiadając charakter dokumentacyjno-kronikarsko-pamiętnikarski. Nie ukrywa ono wad i braków popełnionych przez dowództwo polskie we wrześniu 39 roku—wydobywa jednak także na światło dzienne wiele nieznanych dotąd faktów bohaterstwa, poświęcenia, zuchwałości polskiego żołnierza i oficera w tych tragicznych dniach.

Poza tymi pismami mającymi charakter oficjalny, półoficjalny istnieje ogromna ilość pism, wydawnictw, periodyków, broszur książek wydawanych tajnie. Pism ukazujących się regularnie, mających ustalony zasięg znajduje się w Kraju ponad 140. Naturalnie nie biorę pod uwagę wydawnictw ukazujących się nieregularnie albo dorywczo.

ZASIĘG PRASY PODZIEMNEJ

Zasięg prasy tajnej, jej wpływ na społeczeństwo są zupełnie nie do zastąpienia. Spotkałem się kiedyś zagranicą z takim określeniem, członka ruchu podziemnego, sformułowanym przez jednego z obywateli państwa okupowanego. Definicja ta brzmiała: "członkiem ruchu podziemnego w najszerszym tego słowa znaczeniu jest ten, kto organizacyjnie ma kontakt i regularnie czyta prasę podziemną." Gdyby w Polsce chciano stosować to samo określenie otrzymalibyśmy cyfry olbrzymie.

Wszak ogólna cyfra nakładu wszystkich pism podziemnych oceniana była przez nas na co najmniej 300.000 egzemplarzy. Jeżeli przyjąć, iż każde pismo czytane jest przez ponad 10 osób doszlibyśmy, przyjmując tę definicję, do zdumiewającej cyfry, iż do polskiego ruchu podziemnego należy ponad 3.000.000 Polaków.

Na szczęście w Polsce nie przyjmuje się tej definicji. Członkiem ruchu podziemnego jest człowiek, który daje swoją pracę, energię, czy bezpieczeństwo — ten, który od ruchu podziemnego, nawet za cenę ryzyka, *otrzymuje* wartości, nie jest jego członkiem. Jest on obdarowany, obsługiwany przez ruch podziemny, nie jest jednak z racji korzystania z tych usług uważany za bojownika o wolność.

ZASIĘG RUCHU PODZIEMNEGO

Często można się spotkać tu w Anglii z pytaniem, jak głęboki zasięg ma oficjalny ruch podziemny, jak dalece n.p. ma możliwości działania tajna administracja i organ Pełnomocnika Rządu. Pytanie to zadawały sobie niejednokrotnie również władze podziemne. Próbowano to sprawdzić. Sposoby zastosowano dość proste.

I tak pamiętam w 1941 r., Pełnomocnik odczuwając olbrzymi brak pieniędzy wydał normalną wewnętrzną pożyczkę państwową. Pod względem technicznym nie wyglądało to zbyt oficjalnie. Po prostu na bibułkach było napisane uprzejme podziękowanie za tyle to a tyle kilo określonych produktów, przedmiotów codziennego użytku, materiałów piśmiennych i t.p. Odpowiedni przedmiot oznaczał określoną kwotę pieniężną. Każdy tego rodzaju kwit zaopatrzony był specjalnym znakiem, który oczywiście nie czas jest ujawniać. Zasada była tu taka, iż każdą sumę pieniędzy ofiarowaną przez obywatela na potrzeby aparatu Pełnomocnika i innych organów ruchu podziemnego Rząd Polski pokryje w przyszłości ze Skarbu Państwa wraz z normalnymi bankowymi odsetkami. Jednocześnie każdy ofiarodawca będzie miał honor, iż w ciężkich dniach walki i poświęcenia niósł pomoc ruchowi podziemnemu.

Tak więc pożyczka ta miała dwa cele na widoku: jeden to zdobycie potrzebnych pieniędzy, drugi to przekonanie się, o ile społeczeństwo polskie skłonne jest do ofiar finansowych na rzecz przecież anonimowych, nieznanych personalnie, ukrytych w podziemiach władz państwowych. Z natężeniem czekano raportu poszczególnych organów prowincjonalnych. Impreza ta miała być sprawdzianem dyscypliny politycznej Polaków. Przebieg pożyczki miał charakter ponad spodziewanie korzystny. W niezmiernie rzadkich wypadkach ktoś odmawiał pomocy. Olbrzymia większość pytanych służyła zawsze mniejszymi czy większymi kwotami.

Drugi wypadek. Jak wiadomo Niemcy wydają w Polsce t.zw. popularnie "prasę gadzinową" — t.zn. pisma redagowane w języku polskim i przeznaczone do politycznego dezorientowania i demoralizowania społeczeństwa polskiego. Istnieje wyraźna dążność ażeby prasy tej nie czytać, niestety jednak władze podziemne zdawały sobie zawsze sprawę, iż kategoryczny zakaz czytania byłby trudny do przeprowadzenia. Choćby ze względu na powszechny brak papieru, wielu ludzi musi od czasu do czasu kupować gazetę. Poza tym trzeba wziąć pod uwagę olbrzymi brak wiadomości, "drukowanego słowa," spowodowany niewydawaniem przez Niemców żadnych publikacji rzeczywiście polskich.

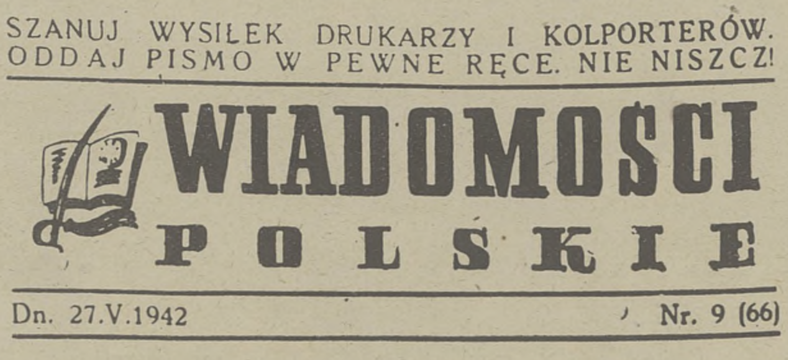
Chcąc jednak zarówno powstrzymać Polaków od kupowania tych gazet a jednocześnie pragnąc sprawdzić stopień dyscypliny społecznej Kierownictwo Walki Cywilnej zarządziło, że kupowanie jakiejkolwiek gazety w piatki jest zakazane. Zarządzenie to było tak skuteczne, że zaszła konieczność ograniczenia przez Niemców do minimum wydawnictwa piątkowych nakładów gazet — w tak widoczny sposób nie miały one w te dni żadnego prawie zbytu.

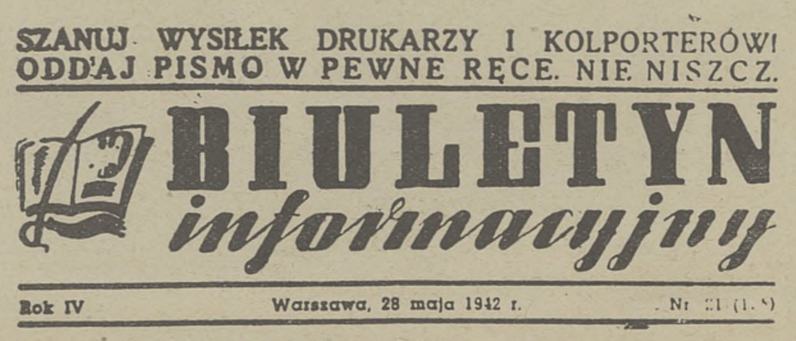
Podobnych przykładów można by było cytować wiele. Jednak nie zawsze ze względów technicznych jest to możliwe.

Ale myślę, że nawet to, co tu zostało napisane, świadczy dostatecznie, że podziemna opinia publiczymś rzeczywistym i obejmującym cały walczący naród.

JAN KARSKI

Nagłówki dwu organów Komendanta Armii Krajowej





---

*Por szkic: "Polskie państwo podziemne — założenia i organizacja," druk. w nr. 51-52 "Polski Walczącej" z 1943 r.

Szkic ten ukazał się po angielsku w nr. 82. "Polish Fortnightly." Egzemplarze numeru można otrzymać za pośrednictwem naszej redakcji.

Piramidy znów piszą historię . . .

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Piramidy od strony Kairu

Kair, w początku grudnia.

Zaczęło się to wszystko w połowie ubiegłego miesiąca. Któregoś dnia prasa kairska przyniosła na niepozornym miejscu krótką wzmiankę, która szerokim kołom czytelników mówiła niewiele, ale zelektryzowała zato brać dziennikarską. Wiadomość ta, czysto lokalna na pozór, dotyczyła luksusowego hotelu tutejszego "Mena House," położonego naprzeciw Piramid, w odległości paru kilometrów od miasta. Prasa donosiła, że w związku z ważnymi obradami międzyalianckimi, mającymi się odbyć w najbliższym czasie w Kairze, hotel "Mena House" opróżniony zostanie ze swych gości, zarówno cywilnych, jak i wojskowych. Dyrekcja hotelu — donoszono dalej—poczyniła już jakoby odpowiednie kroki w tym względzie.

Nie znającym Kairu czytelnikom trzeba wyjaśnić, że "Mena House," położony naprzeciw Piramid i Sfinksa i otoczony wspaniałym, sztucznym ogrodem, jest hotelem o nie byle jakich tradycjach. Gościli w nim swego czasu m.in.; Edward VII /jako następca tronu/, książe Windsoru, prezydent Teddy Roosevelt, wuj obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, przed samą zaś wojną obecną — nie kto inny, jak sam dr. Józef Goebbels. "Mena House" był zawsze elegancki, modny i snobistyczny. Nie śniło mu się jednak nigdy, że u schyłku roku Pańskiego 1943 tworzyć się będzie w jego ścianach historia świata. A tak się stało.

Wiadomość, podana przez prasę kairską, okazała się prawdziwa. Z hotelu "Mena House" wysiedlono wkrótce w istocie wszystkich dotychczasowych mieszkańców. Nie tylko jednak z samego hotelu. W najbliższej jego okolicy, a zwłaszcza wzdłuż wiodącej do niego i do Piramid z miasta "Route des Pyramides," zaczęto wynajmować pośpiesznie poszczególne wille prywatne. U właścicieli tych willi zjawiali się jacyś tajemniczy wysłannicy, przeważnie w mundurach wojskowych, i proponowali za wynajem tych domostw na stosunkowo krótki okres czasu bajońskie wprost sumy. Warunek był tylko jeden: właściciele wraz z rodzinami winni opuścić mieszkania w ciągu pół godziny i nie pytać, na jaki cel domostwa ich zostaną użyte. W ten sposób wynajęto w najbliższej okolicy Piramid około czterdzieści will.

Wszystko to rzecz prosta wzbudziło, wśród ludności Kairu niebywałą sensację. W światku dziennikarskim, wcale nieźle reprezentowanym tu, zarówno jakościowo jak i ilościowo, zawrzało. W "Churchill bar," w którym zbierają się na "drinka" korespondenci wojenni, w hallu hotelu Shepherds'a i w kilku innych sanktuariach kairskich kół prasowych przypuszczenia, hipotezy i domysły rodziły się, jak grzyby po deszczu. Wreszcie skrystalizowała się powszechna niemal opinia: że w Kairze odbyć się ma wkrótce spotkanie "Wielkiej Trójki," t.j. Churchilla, Roosevelta i Stalina, zapowiadane i oczekiwane od dawna.

Tymczasem w samym hotelu "Mena House" i w jego najbliższej okolicy dziać się zaczęły niesamowite rzeczy. Budynki hotelu oraz licznych will prywatnych otoczone zostały zasiekami z drutu kolczastego. Tu i owdzie poustawiano baterie dział przeciwlotniczych. Rozbito wielkie obozy baraków i namiotów, w których roić się zaczęli setkami żołnierze brytyjscy i amerykańscy, żandarmi, G-meni oraz ATS-ki. Między hotelem, willami i miastem założono druty telefoniczne. Na "Route des Pyramides" poustawiano posterunki wojskowe, które co kilkaset metrów zatrzymywały przechodniów oraz przejeżdżające samochody i legitymowały surowo. Setki tajemniczych samochodów wojskowych krążyło dzień i noc po okolicy, wnosząc w zwykły tutaj spokój i ciszę nieznośny gwar i jeszcze mniej znośną woń benzyny. Mrowie wysokich oficerów brytyjskich i amerykańskich podróżowało ustawicznie tam i z powrotem po "Route des Pyramides." Ciężarówki zwoziły do "Mena House'u" wielkie skrzynie nieznanych przedmiotów. Służbę hotelową zdwojono. W ogrodzie budować zaczęto jakieś pawilony i baraki. Przyglądały się temu wszystkiemu odwieczne Piramidy i szacowny Sfinks nic a nic nie rozumiały. Tyle wieków przecież istnieją, ale czegoś podobnego w tej okolicy jeszcze dotychczas nie widziały. Podobno Sfinks przestał się nawet uśmiechać. . .

A Kair? . . . Kair oszalał. O niczym innym w ogóle w mieście nie mówiono. Wszędzie, przy każdym stoliku kawiarnianym i restauracyjnym, w kinie, hotelu i magazynie, w ogrodach, klubach i domach prywatnych słyszało się wciąż, bez przerwy, słowa "Mena House," odmieniane we wszystkich możliwych przypadkach i językach. Churchilla i Roosevelta setki osób *widziały* "na pewno" /przynajmniej tak zapewniały/ już wówczas, gdy nie było ich jeszcze wcale w Kairze. Marszrutę Stalina po ulicach kairskich i wizyty jego określano jak najdokładniej /cóż to szkodzi, że Stalin w Kairze w ogóle nie był?/ Ba, byli nawet tacy, którzy dostrzegli przejeżdżających po "Route des Pyramides" Hitlera i Goeringa. Plotka szalała. Podobnego używania "wszystkowiedzący" Kairoci nie mieli jeszcze nigdy.

Gdy "Mena House" i okoliczne wille zostały już odpowiednio urządzone, zaproszono akredytowanych dziennikarzy na pierwszą konferencję prasową. Wstęp na nią mieli wyłącznie korespondenci, zaopatrzeni w specjalne legitymacje, wydawane przez wysokiego oficera służby bezpieczeństwa. Odtąd, przez cały czas trwania obrad "Wielkiej Trójki," konferencje takie odbywały się po dwa lub trzy razy dziennie. Opowiadano tam, kiedy, jak i którędy przybył do Kairu Churchill, jak witano go na Malcie i jak, podczas podróży okrętem, komunikował się z Anglią. Podawano szczegóły przelotu Roosevelta i Cziang Kai Szeka. Wyszczególniano dokładnie potrawy, podawane członkom konferencji podczas posiłków. Opowiadano, jak sekretarz prezydenta Stanów Zjednoczonych, względnie generał X. lub admirał Y. dokonywali zakupów na mieście. I to wszystko. O samym przebiegu i programie rozmów — ani słowa. Przy tym obowiązywał surowy zakaz nie tylko publikowania ogłaszanych wiadomości w prasie, lecz nawet mówienia o nich. Jednym słowem, biedni dziennikarze przechodzili prawdziwe męki Tantala.

Stopniowo świat dziennikarski zaczął orientować się przynajmniej w organizacji i rozmiarach konferencji. Jasne stało się, że zjazdu polityczno-wojskowego o takim zasięgu nie było chyba jeszcze dotychczas od chwili wybuchu wojny. Lista nazwisk uczestników, którą stopniowo ujawniano dziennikarzom, wyglądała doprawdy imponująco. Otwierali ją: prezydent Roosevelt, premier Churchill i generalissimus Chiang Kai Szek z małżonką. Dalej szli minister Eden i sir Aleksander Cadogan, generał sir Alan Brooke, feldmarszałek sir John Dill, marsz lotnictwa sir Charles Portal, admirał sir Andrew Cunningham, generałowie Hastings Ismay, Carton de Wiart, Ridell Webster, marszałek lotnictwa Sholto Douglas, minister transportów lord Leathers, minister MacMillan i minister stanu R. G. Casey — ze strony brytyjskiej. Wśród Amerykan znajdowali się: generałowie Marshall, Eisenhower, Arnold, Sommervell, Lee, Stillwell, Chennault, admirałowie Ernest King i Leahy oraz p.p. Averell Harriman, Harry Hopkins, Robert Murphy, John Winant i Laurence Steinhardt. Chińczycy mieli na czele generałów Szang Czenga, Czu Szih Minga, Cau Czi i admirała Yang. Łącznie, delegacja brytyjska liczyła 201 osób, amerykańska — około 100 i chińska — 19 osób. Delegacja brytyjska dzieliła się na 11 misyj, amerykańska — na 7.

Szefowie delegacyj oraz główniejsi delegaci mieszkali w prywatnych willach, oddanych do ich wyłącznego użytku. W każdej z tych will obecna była liczna i dobrana służba pod kierownictwem oficera ATS. Hotel "Mena House" przeznaczony był po większej części na konferencje. Szereg pokojów mieszkalnych przekształcono na biura. Parter mieścił pięć wielkich sal konferencyjnych oraz salę jadalną, w której delegaci spożywali posiłki. Obok jadalni znajdował się bar. Za posiłki i napoje uczestnicy konferencji płacili bonami, które następnie honorowane były przez rząd brytyjski. Wielka Brytania była bowiem gospodarzem, wszyscy zaś delegaci — jej gośćmi. Na pierwszym piętrze hotelu rozmieszczono biura delegacji brytyjskiej, na drugim—amerykańskiej, na trzecim — chińskiej. W ogrodzie hotelowym zainstalowano ambulatorium i gabinet dentystyczny. Pierwszym pacjentem, a raczej pacjentką, lekarza miejscowego była pani Cziang Kai Szek, która przybyła do Kairu ze spuchniętym okiem. W głębi ogrodu wzniesiono ołtarz polowy, przed którym w dniu amerykańskiego "*Thanksgiving Day*" odprawiono uroczyste nabożeństwo w obecności wielkiej liczby uczestników konferencji.

Szerokie, zaciszne zwykle korytarze hotelu "Mena House" przybrały jedyny w swoim rodzaju wygląd. Co parę kroków stał nieruchomy fizylier marynarki brytyjskiej. Na drzwiach każdego pokoju—karta, wskazująca. kto w nim pracuje. Na jednej z tych kart odczytać było można imponujący zaiste zespół nazwisk: generał Eisenhower, generał Alexander, admirał Cunningham, marszałek lotnictwa Tedder. Na ścianach pokojów rozwieszono olbrzymie mapy. Specjalne, skomplikowane połączenia telefoniczne zapewniały każdemu pokojowi komunikację bezpośrednią z salami konferencyjnymi, willami prywatnymi oraz wszystkimi innymi pokojami hotelu. Na główną salę konferencyjną przeznaczono wielki salon hotelu.

Generalissimus Cziang-Kai-Szek, prez. Roosevelt, prem. Churchill i pani Cziang-Kai-Szek w ogrodzie hotelu Mena House w Kairze



W obrębie terenu "zarezerwowanego," niedaleko Piramid, rozłożył się ogromny obóz amerykański, grupujący setki osób, pełniących przy konferencji funkcje pomocnicze. Zamieszkali tu szoferzy /kilkaset samochodów obsługiwało uczestników konferencji/, sygnaliści, ordynansi, część wartowników oraz najrozmaitsze ATS — ki — stenotypistki, szyfrantki, telefonistki i tp. Razem —przeszło tysiąc osób, oficerów i żołnierzy. W obozie zbudowano dwie kantyny, salę rozrywkową, kino, ambulatorium. Obóz przecięty był przez sześć ulic, z których każda posiadała swą nazwę. Nie brakło wśród nich, oczywiście, ulic "Franklina" i "Winstona."

Narady odbywały się dzień i noc. Mało która z dotychczasowych konferencyj międzynarodowych pracowała w tak zabójczym tempie. Nieraz o godzinie czwartej nad ranem w oknach "Mena House" widać było rzęsiste światła i sylwetki uczestników narad, pochylonych nad biurkami i stołami konferencyjnymi. W rzadkich chwilach wytchnienia poszczególni delegaci wyjeżdżali na miasto, gdzie przyjmowano ich z wyrazami ogólnej sympatii. Sensację wywołało ukazanie się pani Cziang Kai Szek w jednym z wielkich magazynów kairskich. Nie trzeba dodawać chyba, że w ciągu jej krótkiej wizyty wszelki ruch sprzedażny w magazynie zamarł całkowicie. Cały personel oraz tłum kupujących zebrał się dokoła dostojnego gościa i podziwiał go. Państwo Cziang Kai Szek pokazywali się zresztą na mieście najwięcej ze wszystkich wybitnych członków konferencji. Odwiedzili meczet i uniwersytet religijny Al Azhar, Cytadelę i położone u jej stóp meczety. Obejrzeli też dokładnie Piramidy i Sfinksa.

Piramidom i Sfinksowi złożyli też wizyty prezydent Roosevelt i premier Churchill. Przybyli razem, w otwartym samochodzie, w towarzystwie córki premiera Churchilla, pani Sary Oliver. Objaśnień dostojnym gościom udzielał dragoman Hadż Ali, który zawód swój pełni od 35 lat. Jest on z pochodzenia Algierczykiem. W ciągu 15 minut tłumaczył zwiedzającym tajemnice odwiecznych pomników. Przypomniał też premierowi Churchillowi, że to on właśnie, Hadż Ali oprowadzał po terenie Piramid i Sfinksa księcia Windsoru, gdy ten ostatni był jeszcze księciem Walii.

O wyjeździe delegacyj do Teheranu, dla spotkania się ze Stalinem, mało kto wiedział w Kairze. Co najwyżej garść osób oficjalnych i dobrze poinformowanych dziennikarzy. Szerokie koła tutejszej publiczności, a nawet wiele osób z t.zw. "góry," było przekonanych jeszcze w niedzielę, 28-go ub.m., że Stalin jest w Kairze i że rozmowy toczą się nadal. Tajemnica była doskonale zachowana. Również mało kto wiedział o powrocie prez. Roosevelta i prem. Churchilla i ich otoczenia z Teheranu do Kairu. Ich drugi pobyt w stolicy Egiptu przeminął zupełnie niepostrzeżenie.

Nie czas tu ani miejsce, by omawiać wyniki polityczne i wojskowe konferencji kairskiej. Nie wiele na ten temat przeniknęło do wiadomości publicznej. Z jednego wszakże zdają sobie tutaj wszyscy sprawę: z wielkiej doniosłości dni, jakie Kair przeżył. W cieniu Piramid nieraz pisała się już historia. Obecnie zrodziła się w ich cieniu — Karta Pacyfiku.

ROMAN FAJANS

zdobił STEFAN OSIECKI

PURPUROWY REJS

wiersze z wyprawy norweskiej

CZĘŚĆ II.

NORWEGIA

I

Przyjdź do mnie biała Azis, kochanko miłości,

jak ptak — i obudź we mnie siłę namiętności,

która gorycz mych myśli na radość przemieni.

Przyjdź do mnie biała Azis osnuta z promieni . . .

A kiedy góry mleczne podszyte czerwienią,

serce moje jak kwiaty na płomień zamienią,

wtedy pod abażurem, gdzie w milczeniu nocy,

piszę do ciebie Azis — złoty krąg się stoczy,

jak promień Drogi Mlecznej wysnutej z miesiąca,

i wszystkie me nadzieje z cokołu postrąca.

Przyjdź jednak. Abażury jak serca wygnane,

czerwienią się wieczorem miłością wezbrane,

jak dzień, który wystrzela, jak noc co upada,

jak niebo i jak ziemia, która wiatrem włada.

A fiordy są jak usta i serce uderza,
gdy płomienna Abazis miłość mi swą zwierza.

Już po górach wygnańcy kołaczą pieśniami.

Dzwonią śniade obłoki biegnące nad nami.

A po stokach krok trzody i pasterz przechodzi,

I cisza za pasterzem w sieci złoceń brodzi.
Rzeki spadają zboczem, śnieg spływa jak piana,

i echo się podrywa, jak struna zerwana,
na obszarze milczenia. Jedynie od wschodu,

Abazis — cicha córka błękitnego rodu,
Kochanka zimnych szczytów, wyniosła i senna,

Abazis, moja miłość, cicha i bezdenna,
która niszczy i karze, lecz która buduje
ołtarze przeznaczenia, gdzie miłość panuje.

Dziś płoną jeno góry i serca nam płoną,
u stóp twoich o panno, kochanko szalona
białych nocy, po których jak po krwawym rżysku,

błądzą zgłodniałe wilki i ptak krąży nisko.

A górą tylko księżyc, a górą obłoki,
i strażnik gwiazd — sam czujny, jednooki

goni za nami zemstą. Dosięga i rani,
tych, co szukają siebie w sobie zakochani,
jak Narcyz —
O panno w tę noc, która wzywa,
przyjechałem i pragnę byś była szczęśliwa.

II.

Ponad fiordów niepojęte sidła,
Nad te lądy i nad te skały
Wyrastają na słonych skrzydłach,
Jak te fale — słowa ociężałe.
Wiatr wymościł ich wonne treści,
Ucałował słonym powiewem,
Potem w tumie wolności umieścił
I opętał radosnym śpiewem.
Teraz rosną w mszalnym poszumie,
Oplatając bluszczem oceany.
Aż się zgubią, zgubią w bezrozumie,
Na tym lądzie błękitem oblanym.

POD ANKENES

I.

Nie wiesz, że wszystko jest z nicości.
Wszystko jest z bieli i szeleści.
Ptak, sen, góra, obłok w okrągłości,
i ręka co sięga i pieści . . .
Wszystko przychodzi, odchodzi, krąży . . .

Nie wiesz, że kwiaty, gdy umierają, umierają jak ludzie.
Że potem w zielonym gaju,
Na połoninie szlocha brzoza,
i buk jej ręce podaje.
Buk brzozie — o dziwny, dziwny kraju.

Nie wiesz, że zwierzęta, gdy płaczą, płaczą łzami.
Łzy są delikatniejsze i strunne.
Bo zwierzęta jak obłoki nad nami . . .
jak te słowa i czytelnik o twarzy melancholika . . .
wszystko . . . przemija, mija, znika.

Wiesz czy nie wiesz, ale zapamiętaj,
Nie są to słowa codzienne.
Że na wszystkich lądach, półkulach i kontynentach
jest jedno prawo niezmienne.
To . . . nieobjęte, niezapisane,
a zmienne jak kolor jesieni . . .
Prawo miłości ziemi!

II.

Od fiordu, który nas wyrzuca,
do domków — jest może sto metrów odległości.
Ale nim raz pochwycisz powietrze,
i nim je oddadzą płuca
to oddech, ten właśnie oddech,
jest już pierwszym oddechem wieczności.

III.

Nie mogę opisywać,
boję się symboli.
Tych zmierzchów, tych mgieł i tych niespodzianek.
Wczoraj znowu nie wrócił jeden z wysłanych patroli.
A dziś może już będzie w rozkazie
krótko, bez treści, podane:
“ Patrol w sile jeden, trzy nie wrócił z rozpoznania.”

IV.

Ktoś tu czasem dzwoni piosenką i o dziwo
Piosenka jest lubelska i liliowa.
Pachnąca jak nadbystrzańska niwa.
Melodyjna i ciepła w słowach . . .

Dudni woda dudni
Przyodziana echem.
Na lipowej studni,
śmiech spotkał się z śmiechem.

A kto tak te śmiechy
w cembrowinach dwoi?
Że echo do echa,
echami się troi.

A kto je tak niesie
na tęczę źródlaną,
że z cembrowin pnie się,
wstęgą roześmianą?

Echo się za echem
do rozpuku śmieje . . .
A popatrzcież ludzie,
co się w studni dzieje?

A spójrzcież uważniej
w to liczko źródlane,
dlaczego tak błaźni
całe roześmiane?

Mrokom spać nie daje,
mchom burzy czupryny.
Przechylżeż się który
poprzez cembrowiny.

Spojrzeli oboje,
oboje jak stali,
w roześmiane zdroje
z cembrowanych bali.

Cicho się zrobiło
nad lipowym zdrojem,
tak że słychać było,
słowa tamtych dwoje.

Cicho się zrobiło
wśród lipowych bali,
tak że słychać było,
jak się całowali.

V.

Snom się przyglądam czasem, bo
nie mogę sypiać w noce, jak łabędzie białe.

Po fiordach chodzę z mgłą,
świtami otwieram wschody słońc,
Rosnę jak bujna skała.
Snuję się, jak w pajęczynę uwita gąsienica,

po tych i tamtych okolicach,
szukając podobieństwa. I oto na skrzydłach

schodzą dźwięki po pajęczynowych sidłach . . .

Od rusałek do rusałek,
Od potoku do potoku,
tańczą gwiazdy ogorzałe,
a księżyce przy ich boku.
Gonią, gonią po wygonie,
czarne konie, białe konie.
Niosą, niosą poprzez drogi,
konie, konie lekkonogie.
A gdy dudnią, a gdy dudnią,
poprzez mosty na strumieniu,
od południa do południa,
horyzonty się rumienią.
A gdy lecą, a gdy lecą,
przez lipowe stągwie drzewne,
to podkowy im się świecą
i śpiewają wiatry śpiewne.
Od rusałek do rusałek
kalinowa ta muzyka,
pędzi niby konie białe,
rącze konie przy orczykach.
a zapytasz się księżyca,
cichej nocy, mokrej nocy,
kto i dokąd tak pomyka,
niby kamień z lekkiej procy?
A zapytasz się strumieni,
skąd te konie, dokąd gonią?
To zatrwożą się w milczeniu
to zapłonią się, zapłonią.
Konie? Konie? Jakie konie?
To sny gonią, to wiatr goni.
Prócz księżyca na wygonie,
nie widziałem nigdzie koni.
Ot i koniec, w białej szacie
ponad głową rośnie jawa.
Noc jak księżyc na zagacie.
Sen, jak lutnia na wpół łzawa.
A w tej jawie mocny Boże,
twarz dziewczyny w cichym bólu
zapatrzona w ranne zorze
płacze i do snów się tuli.

VI.

Po gałęziach spływasz jasnościami
rozszczepiając kolory na cienie.
Nieobjętym jesteś płomieniem
zagubionym między mrokami.

Spływasz lekkim wzruszeniem przez liście —
ziemia zgarnia cię jak pocałunki
ust szepcących najuroczyściej
ciepłych zaklęć miłosne meldunki.

Czasem sława oplata Cię w miłość —
Lecz ty krążysz daleka i zimna —
Może właśnie ta, a nie inna.
Uderzając z niewidzialną siłą.

Jesteś wszędzie — Zła — lecz czasami
Karmisz usta swe naszym bólem.
I tak samo skarżysz się czule.
I tak samo jak my płaczesz łzami.

I tak samo wiedziesz na bezdroża.
Błędna tobie żołnierska mogiła.
A gdy padam to twoja siła
triumfuje u mego łoża.

WIOSNA 1944

Wiosną zielone trawy zakwitną na łące,
Baldachim kwiatów spadnie, rozszerzą się horyzonty,
Ale czy kwiaty tej wiosny będą tak samo pachnące,
jak w roku trzydziestym piątym?

Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Wolę niewiedzę, niż ból
I nie chcę dotykać łun, które historia rozpala.
Wśród teatralnych patosów wybrałem najlichszą z ról
I nigdy aktorsko me wargi nie będą wołać na alarm.

Wolę, jeśli mi wierzysz, przekraczać granice świata
i nurzać się wyobraźnią wśród dróg, gdzie nawet ruiny
zostały zżarte przez czas, przez czasów kosmiczne lata,
a na ich miejscu zostały: wiatr, ból i dziwne rośliny.

Wolę zapach tych roślin. Taką możliwość miłości
spotkałem. Może to greckie a może chaldejskie usta
wyniosły z głębi ołtarzy kadzideł wonne nicości,
a zamiast słodkich monstrancyj drewniane stoją tam bóstwa.

Lecz w głębi poza sceną jest przestrzeń ciszą objęta.
Nic się w ciemności nie dzieje, nawet tam pył nie dociera.
Lecz wiem, że leżą tam czasy — historia nieodgadnięta,
która w tych mrokach odległych powoli, lecz stale umiera.

Aleksandryjscy bogowie biorą te prochy jak słowa,
żeby budować z nich gmachy — legendy, pieśni i mity.
Lecz nigdy się nie dowiemy, co mówił kiedyś Jehowa,
i jakie słowa wypisał nam na tablicach rozbitych.

Ale za tarczą niewiedzy i dniem oczekiwania
rosną plejady i feerie — rozkwita wysoki Olimp —
Na którym czasem nam ginie a czasem się znowu odsłania
Ulisses — gwiazda zbłąkana wśród przygód dziwnych symboli.

I nim się rzucisz do biegu, już rydwan przemknął a słońce
wyszło nad horyzonty i dzwoni w ogrodzie świata,
jak kwiat najbardziej upojny, jak kwiat najbardziej trujący,
który usypiał ludzi przez wszystkie antyczne lata.

Może w tych burzach niszczących świat, by się w nicość rozwinął
I zgasł, gdyby nie nadszedł ratunek w palmie wyniosłej Trójcy.
Ktoś komu ojciec rozkazał słowami: Pójdziesz tam synu —
I nie spotkamy się więcej jak tylko raz jeden w Ogrójcu.

Nie wiem dlaczego te czasy krążą nade mną jak ognie.
Co się otwiera z tych dali, o jakich blaskach historii
mam wam dziś śpiewać kiedy wojenne krwawią pochodnie,
które nie sławę niosą, choć chodzą w girlandach glorii.

Lecz tam też burza szalała. Ktoś Romę rzucił pod stopy.
Ktoś otwarł bramy ogrodów, podeptał gusła i wiary.
I głowy — pochodnie bogów — padały jak ścięte snopy
A na ołtarzach płonęły krwawo bezkrwawe ofiary.

Ból mi przeszkadza w opisie, milknę, lecz milknę powoli.
I te liryczne kanony nie mają już dziś takiej siły,
jak słowa pisane kiedyś w zburzonym dziś Akropolis,
które do serca nie cudem, lecz mitem raczej trafiły.

Milknę. Zwołałem czasy lecz zgubić siebie nie mogę.
Patrząc na mapę nadziei wykreślam ten rejs powoli:
Madera, Neapol, Paryż . . . tę już przebyłem drogę . . .
A teraz z chmur wyrosła Norwegia . . . jak tamten Olimp.

WACŁAW IWANIUK

Por. część I-ą druk. w nr. 51-52 “ Polski Walczącej ” z ub. r.

Z pamiętnika pilota myśliwskiego

1940: Casablanka*

Tak więc o godzinie drugiej w nocy, dnia 27 czerwca, załadowaliśmy się w Algierze do wagonów. Dla oficerów doczepiono kilka osobowych. Wgnietliśmy się po sześciu do ciasnych przedziałów i pojechaliśmy w nieznane. Kiedyś w Polsce urządzano takie wycieczki pociągami. Dużo było na to amatorów i czasem brakło biletów. Teraz bilety są za darmo i podróż bardziej obiecująca. Tam w Polsce było zawsze wiadomo, że skończy się na jakimś Zakopanem, Brasławiu, Zaleszczykach, Gdyni. Tu nie ma granic możliwościom. Gdzie nas wyrzuci fala? Gdzie się zatrzymamy na postój, gdzie rozbijemy nowe szańce?

Cicha noc milczy i gwiazdy milczą. Są bardziej kolorowe, niż w Polsce. Są zmysłowe, nieomal cielesne. Przecież to szerokość geograficzna Bagdadu, ojczyzny tysiąca i jednej nocy. — Sinbad znów wyrusza w podróż — myślę, gdy pociąg chrobocząc i rzężąc przełamuje się przez zwrotnice. I jedno jest pewne w tej niepewności, że najbliższy etap to nie będzie ani Augustów, ani Krynica.

Wydobywamy się z labiryntu szyn, z cieśniny zabudowań w otwartą przestrzeń. Powietrze zimne i pełne orzeźwiających pierwiastków, jak kryniczna woda, leje się równą, spokojną falą wzdłuż okien wagonu. Z dalszych wagonów, towarowych, gdzie jadą szeregowcy dolatuje śpiew. Leżąc lub siedząc przy otwartych na oścież drzwiach patrzą w tej chwili może na Wielką Niedźwiedzicę stojącą nisko nad horyzontem. Ćmią może papierosy.

„ Wojenka, cudna pani
Żołnierzy swych nie pieści.
Gdy kulą w łeb nie zrani,
Zabiera ich bez wieści.”

Pod miękki rozchył kół wagonowych — było to w Polsce. Tu nie ma rozchyłu. Jest stukot nabrzmiewający ostrością i bezwzględnością. Pod stukot, który rozbija usiłujące skupić się myśli, pod drżenie rozklekotanych prymitywnych ścian wagonu lecą na zimnej, czystej fali wiatru gorzkie słowa gorzkiej melodii o cudnej pani, wojence.

29 *czerwca.*

Wleczemy się wzdłuż całej północnej Afryki w tempie żółwia. Pociąg przystaje na stacyjkach i stoi godzinami. W dzień straszliwy upał. Powietrze w rozpalonych wagonach, jak w suchej parówce. Jesteśmy zlani potem, brudni, śmiertelnie znużeni. Rozebraliśmy się prawie zupełnie zostając w bieliźnie, lecz i ona lepnie do ciała. Na rzadkich zagubionych stacyjkach nic, oprócz owoców, nie można dostać. Krajobraz czasem monotonny, czasem dziki. Żółta, wysuszona od upału i popękana ziemia. Na północy i południu góry. Pomiędzy nimi wąska szyja stepu, którą jedziemy. Prawie pustynia. Tu i ówdzie namioty Arabów i murzynów.

W nocy dotkliwy, przejmujący ziąb. Gnieciemy się jeden obok drugiego, tułów przy tułowiu pół śpiąc, pół drzemiąc, straszliwie zmordowani, budzimy się co chwila wskutek raptownych hamowań. Podczas jednego targnięcia ciężka walizka przenosi się w szczerym pośpiechu z półki na podłogę potrącając w przelocie o twarz jednego z współtowarzyszów niedoli. Szczęściem zostało tylko podbite oko i rozcięty policzek. Mogło się gorzej skończyć. Zdejmujemy wobec tego walizki z góry. Przedział na dole zostaje po prostu zatkany. Żeby wydobyć nogę z jakiejś szczeliny pomiędzy rupieciem, trzeba wykonać szereg złożonych ruchów.

W Sidi bel Abbès stoimy pięć godzin. Wyruszamy wieczorem. Wożą nas w przód i w tył. W nocy budzę się i wyglądam. Co za stacja? Sidi bel Abbès. Stoimy dwie godziny. Jedziemy znowu.

Sen, nie sen. Zlepek kawałków ciężkiego, bezprzytomnego spania z półsnem, z półrzeczywistością, z pełnym obudzeniem, z przyćmioną świadomością, gdy myśli są podobne do rozmowy na migi, lub do gałęzi drzewa targanej wiatrem. Gnaty bolą; poruszyć się nie można, bo nie ma miejsca. Chłodnym rankiem przecieram piekące oczy i pierwszą rzecz, którą dostrzegam wyglądając przez okno to duży napis: Sidi bel Abbès. Koszmarna podróż.

30 *czerwca.*

Bezlitosne słońce spłaszcza w dzień wszystko, co jest pionowe, nawet żółte i pomarańczowe góry. Pustka przeraża. Z wyklętej ziemi uciekło życie; tu i ówdzie kępczaste kłykcie ostrych traw podkreślają niesamowitość. Są jak przyroda w teatrze. Niby prawdziwe, lecz gdy dotkniesz — paliatyw, *ersatz*. Gdy w nagle otwartym widzeniu, jak na ekranie, pojawia się szałas, wielbłąd i nieco murzyńskiej dziatwy, wrażenie *ersatzu* pozostaje. Szuka się nadaremnie jakiejś przyczynowości, jakiejś podniety ich istnienia i staje się przed zagadką większą, niż kłaki juty, udające w teatrze trawę.

Pod wieczór góry nabierają wyrazu i koloru. Właściwie stają się górami naprawdę. W dzień były jakąś bezplastyczną, zastygłą magmą — i nie wiedziało się, czy to nie przywidzenie. Teraz za to wyrastają ostro, bezwzględnie w górę, odsadzone od długich, sinych cieni, napasłe rudą poświatą, która przejdzie w purpurę i fiolet, zanim się rozpłynie w błękicie.

1 *lipca.*

Wyjątkowo zapowiadają w Fezie dłuższy postój. Zazwyczaj mówiono, że odjeżdżamy za parę minut. Mówiono wszędzie. W Sidi bel Abbès mówione także. Tu złamano regułę. Można więc „ uderzyć ” w miasto.

W odrzwiach sklepów, co służą tu niekiedy za wystawę, poduszki z marokańskiej skóry, mosiądz i miedź pod pretekstem sprzętów zbytkowych, w pięknych arabeskach. Jakiś stary Arab wetknął mi gwałtem do ręki wspaniały album w karmazynowej skórze ze złotymi tłoczeniami. Popatrzyłem na Araba jak się patrzy na wariata i szydercę równocześnie. Nie przejął się tym wcale. Uśmiechał się grzecznie, dobrodusznie z miną człowieka, którego nic nie dziwi, który dużo rzeczy w życiu widział. Mruknąłem coś nieprzychylnego pod nosem.

Tani, dobry obiad na werandzie schludnej restauracji. Kilku naszych urzędujących tu o parę godzin dłużej od nas służy informacjami co, gdzie, jak i ile.

Chyli się ku wieczorowi; oświetlenie napełnia się łagodnością i srebnym pyłem. Gdzieś ktoś gra na gitarze. Ulice wyludniają się z kobiet. Żołnierze, Arabi i my, garść „ polonezów ” — cała publiczność. Zbliża się czas odjazdu pociągu; tu i tam widać grupki sunące w stronę dworca. Niebo staje się szafranowe. Wyobrażam sobie zawsze, że takie niebo jest w Betlejem. Wierzchołki palm występują na tym tle, jak ciemne płaty atłasu, przestudiowane w swych skupieniach przez artystę.

Z przedsmakiem depresji, potu i śmiertelnego znużenia witam znowu wagon. Załoga przedziału chwali się zakupami. Kanapki, owoce, wino, lemoniada. Ktoś kupił całą usmażoną kurę. A oto Kazio z tajemniczą miną rozwija swój duży pakunek. Zdrętwiałem. Na tle szarego papieru opakowań zabłysł wspaniały album w karmazynowej marokańskiej skórze. Bogate, suto złocone obicia i tłoczenia. Przedmiot dostałego, bogobojnego zbytku zamożnej familii, sprzęt bogatego salonu, gdzie piękno jest podszyte co krok solidnością, gdzie wszelka tandeta jest od wieków wyklęta i w pogardzie. Kazio nie był nawet właścicielem ciężkiej walizki, która sfrunęła z półki. Kazio miał jedną koszulę brudną na sobie, a drugą jeszcze brudniejszą w swym neseserze, stanowiącym podobnie, jak i mój, cały jego majątek.

Arab z nieodgadnionym i wyrozumiałym uśmieszkiem patrzy ciągle na mnie. Zaiste niezbadane są sprawy ludzkie, sprawy, o których wie tylko Allah.

3 *lipca.*

Po czterech dniach i pięciu nocach pociąg dobija jakichś zabudowań i staje. Mówią nam, że to Casablanka. — „ Dopóki nie zobaczę napisu, nie uwierzę ” — mówi jeden. — „ Nawet napis mnie nie przekona — poprawia drugi. — Pokażą ci napis i powiozą znowu do tyłu.”

Po jakimś czasie jednak pociąg „ doszlusował ” do stacji. Witają nas władze polskie. Psiakrew! Krew zalewa człowieka, jak mało jesteśmy wyrobieni organizacyjnie, jak mało mamy zespołowości i wiedzy o psychologii ludzi. Już to nie raz mnie uderzyło, że obdarzeni jesteśmy specjalnymi zdolnościami w podchodzeniu do człowieka, jak do klocka. Zamiast dobrze usposobić brudną, zgłodniałą, śmiertelnie znużoną zgraję jakimś ciepłym słowem, zaczyna się od piorunujących kazań w stylu: „ Tu, na terenie Casablanki zaszły gorszące wypadki opilstwa ” i t.d. W związku z tym sypią się pogróżki, rozkazy, konsekwencje, zapowiedzi kar. Zbiórki, odliczania, raporty. Myślę, że tępota niektórych ludzi jest zbrodnicza i że nasz polski żołnierz jest naprawdę wielki. I myślę jeszcze, że w przyszłej Polsce na pierwszym miejscu powinny stać takie nauki, jak psychologia osobnika i tłumu, podstawowe prawa ekonomii pracy i wypoczynku, socjologia, jednym zdaniem te kardynalne nauki, które w zasadniczych, grubych skrótach ma wbite do głowy każdy inżynier amerykański, mający do czynienia poza technologią metali z człowiekiem, i każdy komisarz bolszewicki.

Casablanka. Białe miasto, w którym w południe wszystko zamiera. Żar lejący się z nieba obezwładnia człowieka, zanim ujdzie kilkadziesiąt kroków. Tabun wyrostków arabskich ofiarowuje swe usługi: Kupić gazetę? Sprowadzić dorożkę? Oczyścić buty? Zanieść walizkę? Szarpią za rękawy, ciągną, wyrywają oszołomioną ofiarę jeden drugiemu.

Objechałem blisko dwadzieścia hoteli. Wszystkie przepełnione Polakami, którzy znaleźli się tu przed nami. W końcu dostaliśmy miejsce w hotelu nad morzem, osiem kilometrów od Casablanki. Gwizdnąłem po przyjeździe. To było coś z bajki. Zieleń, kwiaty i cisza. W oddali roztopionym srebrem palił się Atlantyk. Pokoje kobieco przytulne miały wyraźną intencję dogodzenia małżeństwom podczas miodowych miesięcy, a nie bandzie brudnych i zarośniętych trampów. Okupujemy je z dziką radością. Do każdego pokoju należy wanna. O nieba! Niech mi nie mówią więcej o cudach świata przed ujrzeniem wanny po naszej podróży. Wskakuję do niej już w trzeciej minucie po przybyciu, zabarwiam wodę na czarno; wydaje mi się, że to jest nazbyt rozkoszne, by było prawdziwe, że to jest sen.

6 *lipca.*

Zrobili mnie dowódcą pokaźnej grupy pilotów. *Noblesse oblige.* Dwa dni chodzę jak w kieracie za interesami ludzi, których połowę widzę pierwszy raz w życiu. Jeden nie dostał pieniędzy, drugi dostał za mało, trzeciemu brakuje jakichś poświadczeń. Zazdrośnie patrzę, jak koledzy rozbijają się po Casablance w faetonach podobnych do karawanów z białymi płóciennymi dachami.

Zrobiłem wynalazek w jaki sposób pozbyć się nachalnych Arabów. Ani perswazje, ani groźby, ani stoickie milczenie na nich nie działają. Natarczywość stała się ich drugą naturą. Robi się to tak. Gdy Arab ciągnie mię za rękaw, chcąc gwałtownie czyścić buty, należy mu powiedzieć z wyrazem głębokiego przekonania, że uważa się swoje buty za czyste, ale zato buty swego najbliższego sąsiada, na przykład Miecia są stanowczo brudne. Szarpany z kolei Miecio, pokaże na Kazia, a Kazio z powrotem na mnie. Miało to jakiś magiczny sukces, bo Arab oddalał się zdegustowany patrząc na nas z podełba. Ten sposób rozniósł się dość szybko pomiędzy nami i dziś już go wszyscy stosują.

Po południu udało mi się wyrwać z kołowrotu. Znaczyło to, że nie trzeba łazić po spieczonym obszarze lotniska, wynajdując tych, którym się coś załatwiało, nie trzeba skakać z taksówki w taksówkę i kursować od urzędu do urzędu. Nie trzeba stać w ogonku w *Banque Marocain* z plikiem list w ręku i cudzych pieniędzy w kieszeni.

Zamiast tego poszedłem na plażę. Basen, restauracja i dancing tuż nad morzem. Ładnie opalone kobiety leniwią się na piasku w zmysłowych, wypoczętych pozach, przypominając o całym bezsensie wojny. Są tak stworzone do miłości, że z góry im można wszystko wybaczyć, nawet brak duszy. Dusza bowiem w znaczeniu dzisiejszej moralności istnieje tam, gdzie jest jakiś uraz. Gdzie nie ma urazu, jest doskonała harmonia, gwiżdżąca na duszę. Kobiety Casablanki, te kobiety z nad basenu i morza przypominały wspaniałe owoce, lub kwiaty, wspaniałe zwierzęta. Pomimo wszystkie wady, jakie odnaleźliby w nich moraliści, były pełne naturalności i piękna.

W nocy przez otwarte okno słyszy się szum odległego o kilometr morza. Jest potężny i głęboki. Byłem nad Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatyckim, ale to, które dyszy tam za oknem teraz, nie przypomina mórz kontynentu. Jest groźniejsze i potężniejsze. Głos mówi o przestrzeni. O dalekości. Fale są bardziej zmęczone. Jak i my. Zazdroszczę im: znalazły swój brzeg.

8 *lipca.*

Sączę w południe pod werandą kawiarni przez słomkę jakiś chłodny płyn. Miasto pali się w upale białością. Trudno znieść blask bez ciemnych okularów. Powietrze drga i wibruje żarem. Kształty w oddali zatracają ostrość i rozsiewają się mdłą aureolą w powietrzu. Jeszcze chwila, zda się, i przejdą w ciecz, popłyną.

Gdy tak wpatruję się bez żadnych dociekań w ten przygłuszający blask, w falowanie i iskrzenie miasta, jawi mi się Polska. Nachodzi mnie, nawiedza tak znagła, bez żadnych przejść, bez całej drogi kojarzących myśli. Ruszają lody na Wiśle. Sine i zielone bryły z hukiem i trzaskiem prą na siebie. Migocą zimne iskry sypiące się z łamiącej się kry.

Gdzie to było i kiedy to było przypominam sobie po dobrej chwili usiłowań. Obraz wpadł kiedyś w doznanie, jak w niebyt i może by nigdy z tego nie wypłynął, gdyby nie to miasto falujące ogniem.

Jakiś Anglik przysiada się do mego stolika i zaczyna od pogody. Oni podobno tak zawsze. Potem przychodzi kolej na wojnę, na Francję i na Casablankę.

—„ Czy widział już pan dzielnicę arabską? ” — „ Widziałem w Algierze ” — odpowiadam. Krzywi się lekceważąco. — „ To nie to. Jest tu „ *quartier,”* gdzie jest zgromadzone ponad tysiąc prostytutek Arabek. Oczywiście nie ma mowy, by ktoś z białych uczęszczał tam poza marynarzami. Ale warto obejrzeć to jako *curiosum.”*

Coś, niecoś już o tym słyszałem. Jest to ta druga Casablanka. Casablanka bez luksusowych hoteli z wannami, dyskretnej służby, wytwornej sali jadalnej z widokiem na morze. Bez basenów i sznuru samochodów przy basenach. Bez pięknych, rasowych samic wdzięczących się leniwie do słońca. Casablanka — tak jak ją sobie wyobrażam na podstawie tego, co widziałem w Algierze — bez uśmiechu, bez nadziei, z przekleństwem słońca.

Być może w oficjalnym Baedekerze tego nie ma, ale tam nie ma również wielu rzeczy, które nie przecisną się przez moralność ludzi, decydujących o tym, co ma być pisane. Przewodnicy miejscowi to uzupełnią. Biały gentleman pójdzie tam z „ Leicą ” zbierać ekscytujące go tematy, a potem będzie to oglądał razem ze swoją żoną czy przyjaciółką, jak myśliwi oglądają trofea myśliwskie.

Właśnie, gdy siedzę z Anglikiem na werandzie, osiąga mnie szeptany rozkaz natychmiastowego wyjazdu. W szalonym pośpiechu, który narzuciły nasze władze, ładujemy się na okręt i wypływamy wieczorem do Gibraltaru. Podobno Niemcy już żądają od Francuzów, by nas internowano. Płynie z nami kilku Francuzów chcących walczyć dalej. Jeden dołączył do mojej grupy. Niektórzy są przebrani w mundury polskie, gdyż w Casablance władze francuskie utrudniały Francuzom wstęp na pokład.

O kilka mil od brzegu wyłania się z boku sylwetka okrętu wojennego i legitymuje nas. Błyskają sygnały. Flota brytyjska czuwa.

Cicha, srebrna noc. Fale fosforyzują. Światełka Afryki oddalają się coraz bardziej. Wracamy znowu do Europy.

STEFAN ŁASZKIEWICZ

* Por. część pierwszą: „ 1940: Cambrai ” druk. w nr. 42, część drugą: „ 1940: Beauvais ” druk. w nr. 43, część trzecią: „ 1940: Persanne Beaumont ” druk. w nr. 45, część czwartą: „ 1940: W obronie Paryża ” druk. w nr. 46, część piątą: „ 1940: La Perthe ” druk. w nr. 48, część szóstą: „ 1940: Auxerre, Issoudun ” druk. w nr. 48 i część siódmą „ 1940: Alger ” druk. w nr. 50 „ Polski Walczącej ” z ub.r.

Z tygodnia na tydzień

18 *grudnia: Naczelny Wódz gen. broni K. Sosnkowski powrócił do Londynu z inspekcji Armii Polskiej na Wschodzie.*

19 *grudnia: Ogłoszono w Moskwie, że Czerwona Armia przed paru dniami przełamała linie niemieckie na południe od Newla.*

—Lotnictwo amerykańskie z baz Morza Śródziemnego bombardowało Augsburg i Innsbruck.

20 *grudnia: Lotnictwo amerykańskie z baz w W. Brytanii bombardowało Bremę. Tego samego dnia bombardowano obiekty wojskowe w północnej Francji, między Dunkierką a Calais. Był to pierwszy z serii nalotów Sprzymierzonych przeciwko domniemanym pozycjom niemieckiej “tajnej broni,” skierowanym przeciwko Anglii.*

—Prezes Rady Ministrów St. Mikołajczyk odbył dłuższą rozmowę z brytyjskim ministrem spraw zagranicznych Edenem.

21 *grudnia: W nocy z 20/21 lotnictwo brytyjskie bombardowało Frankfrut nad Menem zrzucając w pół godziny 2.000 ton bomb. Równocześnie bombardowano Mannheim-Ludwigshafen.*

—W nocy z 20/21 załogi polskie z Dowództwa Obrony Wybrzeża patrolowały nad Zatoką Biskajską.

23 *grudnia: Bardzo zacięte walki żołnierzy Ósmej Armii o miasto Ortona we Włoszech.*

24 *grudnia: W nocy z 23/24 lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie Berlin. Zrzucono ponad 1.000 ton bomb.*

—Lotnictwo Sprzymierzonych dokonało za dnia ataku na „ specjalne urządzenia wojskowe ” na północnym wybrzeżu Francji, w okolicach Calais. W szeregu nalotów wzięło udział ponad 2.000 samolotów. Wszystkie samoloty powróciły.

—Ogłoszono, że gen. Eisenhower mianowany został naczelnym dowódcą brytyjskich i amerykańskich sił zbrojnych, organizowanych w Zjednoczonym Królestwie, dla wyzwolenia Europy. Następnie mianowano: H. M. Wilson — naczelnym dowódcą sił zbrojnych Sprzymierzonych na Morzu Śródziemnym; gen. H. Alexander — głównodowodzącym wojsk Sprzymierzonych we Włoszech; gen. B. Montgomery — głównodowodzącym wojsk brytyjskich pod rozkazami gen. Eisenhowera; gen. Spaatz — dowódcą amerykańskiego strategicznego lotnictwa bombowego działającego przeciwko Niemcom.

—Ogłoszono, że O.R.P. „ Sokół ” zatopił na Morzu Śródziemnym transportowiec nieprzyjacielski o pojemności 4.500 ton, cztery szkunery i mały żaglowiec. Jeden statek o pojemności 4.000 ton został prawdopodobnie zatopiony.

—Z okazji świąt Bożego Narodzenia Naczelny Wódz wydał Rozkaz nr. 22 do żołnierzy. W rozkazie tym czytamy:”

„ W noc wigilijną, piątą zkolei wśród burzy, która nas po całym rozproszyła świecie, czuć musimy mocniej niż kiedykolwiek, że jesteśmy jedną wielką rodziną żołnierską.”

26 *grudnia: Niemiecki okręt liniowy „ Scharnhorst ” zatopiony został koło północnych wybrzeży Norwegii przez brytyjskie okręty wojenne.*

—Ogłoszono w Moskwie, że wojska sowieckie podjęły kontrofensywę na odcinku na zachód od Kijowa. Odbito m.in. Radomyśl, zajęty niedawno temu przez Niemców.

27 *grudnia: Ogłoszono dodatkowo, że gen. B. Paget mianowany został głownodowodzącym wojsk brytyjskich na Bliskim Wschodzie. Air Chief Marshal A. Tedder mianowany został zastępcą naczelnego dowódcy gen. Eisenhowera.*

Bez blackoutu

Koniec roku 1943 przyniósł sporo materiału obserwacyjnego dla badacza, względnie "przyczynkarza" psychologii emigracji.

Powiedział nam wysłannik Kraju (w wigilijnym numerze "Polski Walczącej"), powiedział otwarcie, że Tam nie dzielą narodu na ludzi Kraju i emigrantów, lecz uważają nas za przednią straż, za wybrańców, którym los dał szanse walki otwartej, dał możliwość pogłębiania wiedzy w warunkach prawie normalnych. Dumni powinniśmy być z tej roli, ale tym więcej potrzebne wydaje się stałe i konsekwentne odsłanianie słabostek i demaskowanie wad tej gromady wybranej, która nie może zawieść nadziei z nią związanych.

Nawoływaliśmy stale do tej pory do trzeźwości, do wyzbycia się nadmiaru uczuciowości, zwalczaliśmy pobudliwość tak bardzo charakterystyczną, a tak bardzo szkodliwą dla naszego temperamentu narodowego. Dzisiaj pojawiają się głosy wypowiadające się za "romantycznością," odrzucające na pewnym odcinku — i słusznie — zasady "trzeźwości" i zdrowego rozsądku. Co z tego wynika? Do jakich wniosków dojść nam trzeba? Chyba pogodzić i zrównoważyć te rzeczy, ustalając jakiś złoty środek.

Jeżeli już mówimy o romantyczności, to przyznaję się, że przeraził mnie ten straszliwy chłód, jaki wionął z naszego kolędowania w dniach Bożego Narodzenia roku 1943, przeraziło mnie to groźne stępienie uczuciowe nastroju, w jakim łamali się Polacy opłatkiem w tym trudnym dla nas roku. Ciężko było wyszeptać: przyszłe święta w Polsce. I nie można się dziwić: piąty raz powtarzamy to samo. Piąty rok. Wielu przysięgało sobie, że przy opłatku będą milczeć jak zaklęci. I milczeli.

Czy to jest jednak tylko stępienie uczuć? Czy nie wycisnęła na nas swoistego piętna całkowicie inna atmosfera świąt brytyjskich: szkocki "rozpukany" strzelaniem z papierowych torebek "Christmas" i angielski milczący dinner Bożonarodzeniowy z celebrowanym uroczyście "turkeyem." Zadaję sobie pytanie, czy w wielu wypadkach ten brak serdecznych wzruszeń nie był po prostu maską, którą wsadziliśmy na twarz chcąc osiągnąć idealny, opanowany typ "brytyjskiego" gentlemana?

Bo przypomnijmy sobie nasze Święta, nastrój wigilii; przecież w najlepszych, w najszczęśliwszych czasach, gdy przy stole rodzinnym nie brakowało nikogo, Twoja i moja matka płakały przy opłatku, Twój i mój ojciec ocierali łzy przy pierwszej kolędzie. Nie mówiąc już o łatwo wzruszających się siostrach. Beczały na pasterce, głusząc organy. Było tak, było. Przypomnijmy sobie. To święto rodziny, ciepłe, białe, rozdzwonione sankami, roziskrzone światłami choinek, to święto zawsze chwytało za serce i wstrząsało duszą.

A tutaj? Mimo znanego ukochania "home'u" w "Christmas Eve" kilometrowe ogonki przed kinami, masowe wyjazdy, szukanie rozrywki poza domem. Inna treść i inna atmosfera. Może to ona nas sparaliżowała, może to ona wyprała nas z tych resztek romantyczności wigilijnej, śnieżnej i jasnej, którą tylko wspominamy.

Wiem, że nie mogę tych moich obserwacji uogólniać, wiem, że w wielu wypadkach było może inaczej, ale pilnie studiowałem siebie, przyglądałem się moim przyjaciołom, a szczególniej tym spośród nich, którzy tamtego roku wigilię spędzili w niewoli. Oni byli jeszcze bardziej chłodni, niż my, zadomowieni na tej wyspie. Stępienie uczuciowe czy opanowanie? Jedno i drugie zmieszaj razem, dodaj zawiedzione nadzieje pięciu kolejnych wigilii spędzonych poza Krajem, dodaj obcą, otaczającą nas atmosfere, a będziesz miał powody.

Obserwując stan uczuciowy mój własny i innych myślałem w głębi duszy z dziką jakąś radością: "Ach, jak my się pobeczymy wszyscy na pierwszej wigilii we Lwowie, jak odtają serca, jak pławić się będą w "romantyczności," jak z hukiem pękną maski "gentlemanów," jak łatwo otworzą się serca, pozornie tylko dziś zamknięte na cztery spusty."

Będzie tak, jak było—brzmi to paradoksalnie—jak w czasie tej pierwszej wigilii na obczyźnie w roku 1939, tylko straszliwy smutek zastąpi wielka radość. Ale czuć się będzie serca; nikt nie będzie hamował uczuć, nikt nie będzie się wstydził łez. To musi wrócić! Piszę "musi," choć zawsze głosiłem zasadę opanowania i za wzór podawałem Brytyjczyków.

Trzeba jednak dziś, dla uniknięcia nieporozumień, określić jasno granice tej "trzeźwości." Są nimi: polski stan posiadania i tradycja polska. Uczuciowość tej tradycji jest nam tak potrzebna, jak spragnionemu woda. Whisky już dość mamy w naszym organizmie emigracyjnym. Mąci ona głowy i suszy serca. Czy to znaczy, że whisky jest szkodliwa? Podobno umiejętnie dawkowana chroni przed zaziębieniem, podobno lekarze zapisują ją jako znakomity środek na odczyszczenie krwi. Tak samo jest z naszym naśladowaniem Brytyjczyków i tak samo jest z naszą romantycznością. Umiejętnie dawkowane naśladownictwo zalet brytyjskich oczyści naszą nagłą krew z niepotrzebnych bakterii impetu; umiejętnie dawkowana "romantyczność" nie zabije rozumu i nie rozwodni uczuć.

Przyznaję się otwarcie, że w okresie świątecznym, w czasie żołnierskich przedstawień dla dzieci szkockich w Edynburgu i Glasgowie dwa razy targnęła mną starego typu "romantyczność," a prawdziwa, rzewna łza kapnęła na mój battledress. Pierwsza wtedy, gdy widownia dzieci glasgowskich (1,500 główek) dopowiedziała za naszym Tońkiem-conferencierem wiersz Burnsa: "My heart's in the Highland." Na tym wierszu tłumaczył im conferencier tęsknotę do rodzinnego kraju. Gdy doszedł do słów:

"Chasing the wild deer, and following the roe,
My heart's in the Highland . . ."

dzieciarnia najwidoczniej przejęta, jak w pacierzu połączyła się w jednym szepcie: ". . . Wherever I go."

Ten szept dziecięcy upewnił nas, że istnieje kontakt serc, daj Boże nie tylko na tej widowni.

Gdyby wszyscy Brytyjczycy odczuwali nas tak, jak te dzieci z widowni glasgowskiej moglibyśmy być spokojni i ufni. Szczególnie ci spośród nas, którzy mówiąc: "My heart's in the Highland," myślą o siedmiu lwowskich wzgórzach lub o "pagórkach leśnych" Ziemi Wileńskiej. A myślimy. Wherever we go.

Druga łza najprzedniejszego gatunku spadła wtedy, gdy po "Christmas Party" w Glasgowie zaczął ze mną mówić mały Wojtuś. Wojtuś przyjechał do Glasgowa niedawno. Ze Wschodu. Ma 5 lat. Urodził się w Warszawie w roku 1939. W chwili, kiedy z nim rozmawiam, siedzi w autobusie na kolanach jednego z moich przyjaciół, otulony w kożuszek.

Ja: Czy Ci się tu podoba, Wojtusiu?

Wojtuś: Trochę. Prawie tak jak w Teheranie.

Ja: O, to ty byłeś w Teheranie?

Wojtuś: Tak. I w Afryce.

Ja: A gdzie chciałbyś mieszkać?

Wojtuś: W Polsce.

Ja: Przecież ty Polski nie znasz. Tam bardzo zimno.

Wojtuś (oburzony): *Co z tego, że zimno! Ja mam kożuszek* (po chwili zadumany) *w Rosji było jeszcze zimniej.*

Ja: To ty byłeś także w Rosji?

Wojtuś: Tak. Z mamusią.

Ja: To w takim razie tegoroczny Mikołaj był pierwszy w twoim życiu.

Wojtuś: Nie. Pierwszy był w Rosji, ale nic mi nie przyniósł tylko "kipiatok," jak codzień. Tam Mikołaje w ogóle nie chodzą. A mamusia mówiła, że wtedy Mikołaj był bardzo biedny. Drugi był w Teheranie przyniósł mi kożuszek, trzeci był w Afryce. . .

Ja: (" gentleman " się załamał, głos mu nie dopisuje, spoziera na tego " amnestionowanego " Polaka, który ledwie od ziemi odrósł.)

Wojtuś: (ściskając woreczek z czekoladą): *Ze słodkich rzeczy w Rosji to była tylko marcheweczka, jak mamie udało się dostać.*

Ja: A na śniadanie?

Wojtuś: Chleb maczany w "kipiatok." Cały czas: kipiatok, kipiatok, kipiatok."

W autobusie nastąpiła dziwna cisza. Koledzy pospuszczali głowy, ktoś gładził jasne włoski chłopca. Wojtuś patrząc na mijające nas samochody, tramwaje, na gwarne, tłumne ulice, powiedział:

"W Polsce na pewno ładniej. O tak. Najładniej . . ."

Ten chłopaczek urodzony w 1939 roku w Warszawie tęskni, jak i my za nieznanym mu krajem, krajem "romantyczności," wielkich tradycji i gorących serc.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Skrzynka pocztowa

TRANSPORT OCHOTNIKÓW POLSKICH Z BRAZYLII

Szanowny Panie Redaktorze,

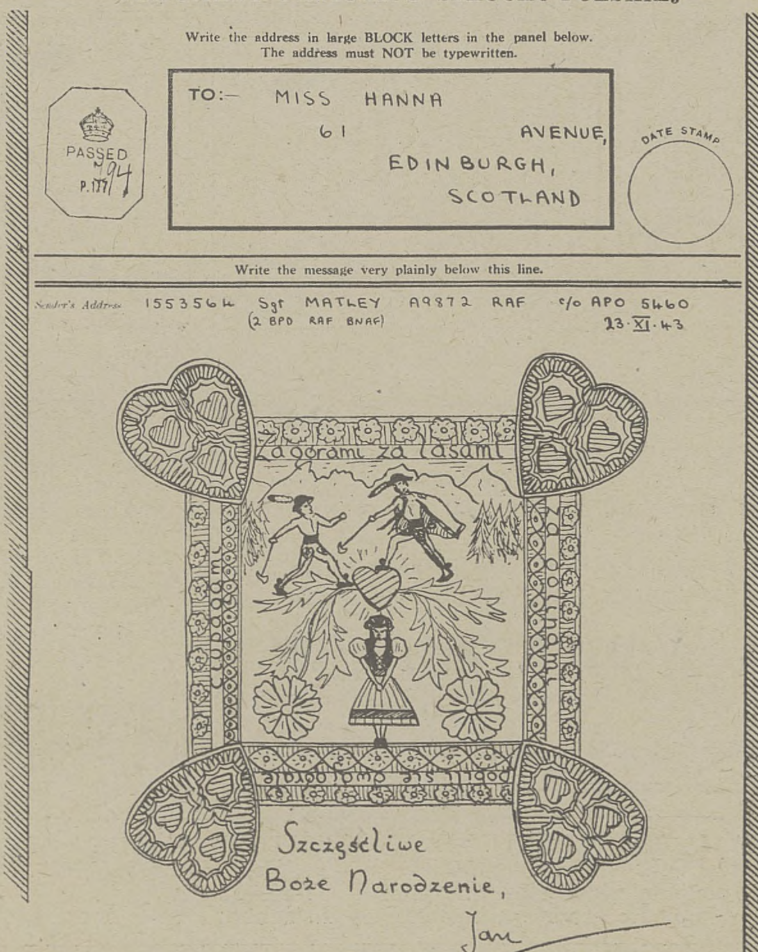
"Polskę Walczącą" czytywałem stale w Brazylii. Specjalnie dla "Polski Walczącej" zamiast listu, przesyłam załączony wiersz, życząc wszystkiego najlepszego.

Przybyłem, ręką losu na Północ rzucony
Albionu . . . Obowiązek! Ojczyzna ginąca!
Miesiąc temu — w Brazylii, u dzieci i żony,
Dziś tu, za oceanem szumiącym bez końca . . .
Dziś tu, pod wymarzonym ojczystym sztandarem
Stanąłem, niosąc Tobie miłość swą i wiarę!
Wezwałaś mnie Ojczyzno!
W strasznej zmagań chwili
Zgłaszam się do szeregów śladem dzielnych wojów . . .
Tam rodzina została w dalekiej Brazylii
I modli się o zdrowie dla Ojca śród boju
I modli się, byś z trudów ojców, mężów, braci
Powstała, Wolna Polsko, w chwały majestacie!
—Ochotnik? — Tak! Z ochotą życie swe nieść trzeba
Ojczyźnie, Ona bowiem dała mi to życie!
Do niej należę cały, jak gwiazdka do nieba —
I chciałbym ją oglądać w Wolności rozświcie . . .
I chciałbym ją oglądać w szczęścia jasnych zorzach,
Odrodzoną, rozległą od Karpat do morza!
I chciałbym ją oglądać w gronie Wolnych Ludów,
Wolną, Wielką, Potężną — jako sny za młodu . . .
Za te męki wiekowe, za bezkres jej trudów,
Za krew naszą, rozlaną z Zachodu do Wschodu,
Za moc i hart jej ducha, który błyskawicą
Wiódł nas w pola Grunwaldu i ku Racławicom!
Za moc herojów: znanych i tych bezimiennych,
Za krew Września, Warszawy, za ból, szubienice,
Za mogiły u Warty, Wisły, Bugu, Niemna,
Za zhańbione świątynie, matki i dziewice
Za miecz boleści, za Twą koronę cierniową —
Chcę uzbroić Cię Polsko, w moc cherubinową!
Idę, aby cegiełkę swych trudów dorzucić
Do żmud pracy Narodu, do Wielkiej Budowy . . .
I przeto serce moje dzisiaj się nie smuci,
Bo duch pragnie na wrogów spaść ciosem gromowym
I mścić tę krew rozlaną na ojczystych siołach,
Krzywdę miast, wsi rodzinnych, co o pomstę wołą!
Za te kości pradziadów, wyrzucone z mogił,
Za te krzyże przydrożne, strzaskane bombami,
Za popalone miasta i wieśniacze progi,
Za braci katowanych za więzień kratami,
Za łzy dzieci i matek — za każdy ból bratni,
Niesiem wrogom zapłatę w grzmocie luf armatnich!
I wierzę i przysięgam na Ojców mogiły,
Że nie spocznę w swej drodze, póki sił mi starczy!
Krew serdeczną ci niosę, wszystkie moje siły —
Chcę być w gronie zwycięzców z tarczą lub na tarczy . . .
Niech przykład Ojca woła do dzieci za morzem:
DLA POLSKI żyć, lub umrzeć w żołnierskim honorze!

Londyn 15.X1.43.

Wojciech Breowicz

DOKUMENT PRZYJAŹNI SZKOCKO-POLSKIEJ



Airgraph z życzeniami świątecznymi przesłany z Środkowego Wschodu przez żołnierza-Szkota dla Polki. Zawiera on — jak widać — motywy polskie odtworzone z doskonałą znajomością rzeczy i wzruszającą drobiazgowością. Ta drobiazgowość wykonania zasłużyła sobie nawet na uznanie poczty brytyjskiej, która doręczyła adresatce niezwykły airgraph w formie oryginalnej, nie w kopii fotograficznej.

W SPRAWIE TYTUŁOWANIA

Redakcja "Polski Walczącej,"

Proponuję przeprowadzenie ankiety na temat tytułowania szeregowców i podoficerów. Nie zdradzę chyba "tajemnicy," gdy stwierdzę fakt powszechnie znany, że regulaminowy sposób zwracania się do szeregowych i podoficerów w większości wypadków nie jest stosowany. Używa się określeń "pan," lub n.prz. "wodzu," "kolego," względnie mówi się w trzeciej osobie. Główna przyczyna, że określenie "per wy" — odczuwane jest błędnie jako poniżenie społeczne.

Oczywiście nagminne mijanie się stanu faktycznego z regulaminem, jest zjawiskiem niepożądanym. Jako rozwiązanie proponuję wprowadzenie określenia "per wy" z dodaniem stopnia dla wszystkich żołnierzy — przy zwracaniu się do podwładnych i równych stopniem. W stosunku do przełożonych i starszych stopniem powinno być utrzymane określenie "pan" z dodatkiem stopnia.

Nie będzie wtedy szeregowiec odczuwać poniżenia, gdy słyszeć może generała mówiącego również do pułkownika przez "wy" i odpowiedź przez "pan." Dla oficerów nie będzie to też ujmą, gdyż wiedzą, że w stosunkach uniwersyteckich profesor do młodszego lekarza lub absolwenta mówi nieraz: "słuchajcie kolego," a ten odpowiada mu: "panie profesorze." Tegoż określenia używają bardzo często w towarzyskich stosunkach wojennych akademicy, adwokaci, i t.p. Dlaczegoż nie ma używać większy i ściślej związany zespół, jakim jest siła zbrojna?

Z należnym szacunkiem

Antoni Jaworski /RAF/

PODZIĘKOWANIE ANGLIKA

To the Editor "Fighting Poland,"

Dear Sir,

I shall be glad if you will kindly publish the following letter in your journal "Fighting Poland." I would like those Polish boys who bought tickets to help the Fund to know who won the lucky ticket.

The French dressed doll which was donated and raffled by Miss Jean Robertson-Bain, Penzance House, Bridge-of-Allan, Scotland, in aid of above Fund has been won by Miss Lilian Fleurian, "Netherby," Bridge-of-Allan. The sum of £18.10.0 was realized, which has been forwarded to Madame Sikorska for the Polish Children's Relief Fund.

I remain,
yours truly,
Frances M. Robertson-Bain.

Penzance House, Bridge-of-Allan,
Stirlingshire, Dec. 16th.

Dla Polaków w Rosji: £10,534

6. Parson Lane,
Clitheroe, Lancs.

My name is Joan Yarver and I am 13 years old. I am sending a £1 postal order, to help Polish children who have suffered.

I have a library with my books, and with my friends as customers, have raised this money. I should like especially for it to go towards helping to give a good Christmas to some Polish boy or girl. Thank you—Joan.

* * *

Pracownicy Polskiej YMCA składają za miesiące listopad i grudzień 1943 na polskie dzieci z Rosji £20.10.0.

* * *

£3 /trzy funty/ na dzieci polskie z Z.S.R.R. zamiast życzeń noworocznych.

Maria i Jan Leśniakowie

* * *

Zamiast upominku gwiazdkowego moim kochanym Opiekunom Pułkownikowstwu Leśniakom, przekazuję 5 sh. na Pomoc dla Polaków w Rosji.

Junak Stefan Petrusewicz

* * *

Przesyłam w załączeniu czek na sumę £8 /osiem/ zebraną przez grupę ostatnio przybyłych do W. Brytanii — żołnierzy naszych z przeznaczeniem na dzieci polskie wyewakuowane z Rosji.

Uprzejmie proszę Pana Redaktora o skierowanie powyższej kwoty do właściwej instytucji, oraz o łaskawe ogłoszenie tej składki w swym poczytnym tygodniku.

Równocześnie dołączam listy imienne ofiarodawców dla ewentualnego wykorzystania w ogłoszeniu z uprzejmym podkreśleniem, ciągle wyróżniającej się ofiarności żołnierskiej.

Szef Wydziału Uzup. i Admin.
Rezerw M.O.N.
ppłk. dypl. L.B.

* * *

Mjr. O. Wi. zamiast powinszowań świątecznych składa 15.sh. na pomoc Polakom w Rosji.

* * *

N.N. dla Polaków w Rosji sh. 5.0

* * *

Przesyłam w załączeniu £8.12.6 /słownie: osiem funtów dwanaście szyl. 6d./ na fundusz pomocy dzieciom polskim.

Pieniądze te uzyskałam ze sprzedaży lalki drogą losowania.

Pozatem na ten sam fundusz przesyłają pp. Fletcher, Saltoun Hall, Pencaitland 10 sh. oraz p. Cambell 14, Bridge Str. 5 sh.

Jadwiga Czajkowska

* * *

ŁAŃCUCH OFIAR

Bezimiennie sh. 6.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £43.8.6. /słownie czterdzieści trzy funty, osiem szylingów i sześć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do Ł10,534,6.9 /słownie: dziesięć tysięcy pięćset trzydzieści cztery funty, sześć szylingów i dziewięć pensów/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5 1/2 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

DLA JUNAKÓW

Zamiast życzeń świątecznych składamy na Gwiazdkę dla Junaków sumę £2.0.0.

Władysław i Krystyna Karasiewiczowie

Pieniądze te przekazaliśmy do Komendanta obozu Junaków w Wielkiej Brytanii.

NA PAPIEROSY DLA JEŃCÓW

W załączeniu przesyłam kwotę £31.sh.10 /słownie: Trzydzieści jeden funtów i dziesięć szylingów/ z przeznaczeniem na papierosy dla jeńców.

Kwota powyższa zebrana została przez żołnierzy 3107 Servicing Echelonu, którzy proszą o przekazanie pod adresem:

Administracja F. O. N. Darów, Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1.

Dowódca 3107 *Servicing Echel.*
inż. por. A.

Dla jeńców "paczki od serca": £1,659

Dear Sirs,

At a meeting of the Leek Youth Fellowship on 10th November at which Pilot-Officer Rafal K . . . was the speaker, a collection was taken for the "Parcels from the Heart Fund" and I have great pleasure in sending you a cheque for two guineas (£2.2.0).

Yours faithfully,

Thos. Ratcliffe,
Hon. Treasurer

* * *

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych Szef, Oficerowie, Podoficerowie i Urzędnicy Gabinetu Naczelnego Wodza składają kwotę £3 sh.8 na pomoc dla jeńców wojennych.

Szef Gabinetu Naczelnego Wodza
ppłk. dypl. B.

* * *

Zamiast upominków świątecznych przesyłam £5 dla jeńców polskich w Niemczech.

por. Wojciech L.

* * *

Zamiast rozsyłania życzeń świątecznych i noworocznych przesyłam £10 /dziesięć funtów/ na pomoc dla Polaków w obozach jeńców w Niemczech.

Najserdeczniejsze życzenia dla Pana redaktora i wszystkich współpracowników Polski Walczącej łączę.

Maria Przybytkowa

* * *

W związku z odejściem na inne stanowisko Dowódcy . . . Szwadronu Łączności Kpt. W.- żołnierze . . . Szwadronu Łączności złożyli dobrowolnie kwotę £7, na papierosy dla jeńców wojennych w niewoli niemieckiej.

Dowódca Łączności Dywizji
ppłk. G.

* * *

Zamiast życzeń świątecznych dla p. por. Załęskiej proszę przyjąć załączony Postal Order na sumę £2 /dwa funty/ na "paczki od serca" dla jeńców.

Flight 2
Polski Squadron W.A.A.F.

* * *

Jako nieprzyjęty zakład przesyłam £1 na fundusz pomocy jeńcom.

Z poważaniem.

por. J.S.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie prosimy Pana Redaktora o przekazanie £1.10.0 na paczki od serca dla naszych braci w niewoli niemieckiej.

Sumę tę składają pacjenci z sali nr. 12 szpital O.S. w Gallowshill Hall zamiast składki na prezenty świąteczne dla personelu szpitala.

Łączymy wyrazy głębokiego szacunku.

pacjenci sali nr. 12.

* * *

Zebraną przez absolwentów 3. wojennego kursu W. S. Woj. do mojej dyspozycji kwotę £7.5.0 przesyłam na paczki od serca dla jeńców polskich w Niemczech.

"Baca"

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam w załączeniu Money Order na kwotę £3.10.9 /słownie: trzy funty, dziesięć shyl. i dziewięć pensów/ na paczki dla jeńców polskich w Niemczech.

Na kwotę tę złożyły się odsetki, przyznane mi od sprzedaży kart świątecznych.

Świetliczarka O.Z.L. w B.

* * *

. . . Szwadron Łączności przekazuje na paczki od serca dla jeńców łącznościowców w Niemczech £8.6.0. jako czysty dochód z rozsprzedaży pocztówek świątecznych własnego wyrobu. Wykonawcy por. T.D. i podch. F.P.

* * *

Personel wojskowy i cywilny Wojskowego Instytutu Technicznego zamiast życzeń świątecznych przesyła £66.0.0. na "paczki od serca" dla polskich jeńców, którymi nikt się jeszcze nie opiekuje.

* * *

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych przyjaciołom, znajomym i bliskim, w załączeniu przesyłamy czek na £3 /trzy/ na paczki od serca dla jeńców — żołnierzy naszych w Niemczech.

Z poważaniem

Jadwiga i Czesław Antkowiakowie

* * *

Dowódca i Korpus Oficerski . . . Pułku Artylerii Przeciwlotniczej, zamiast życzeń Świątecznych i Noworocznych składają £2 na pomoc dla Jeńców Wojennych.

Zamiast życzeń i prezentów świątecznych składam na pomoc jeńcom polskim £4 /słownie cztery funty szt./

Z poważaniem

L. Gołaszewska

* * *

Z powodu odejścia II-giego zastępy D-cy . . . Pam. majora Władysława P. zamiast pożegnania — Oficerowe i szeregowi Rzutu . . . Pam — kwotę £23 przekazują na "paczki od serca" dla polskich jeńców wojennych w Niemczech.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam kwotę £5.16.0 zebraną przez szeregowych kompanii sanitarnej. . . Sam. Bryg Spad. na rzecz pomocy jeńcom wojennym w Niemczech — "Paczki od Serca."

Kreślę się z poważaniem

por. T.P.

* * *

Kochany Panie Redaktorze,

Przesyłam w załączeniu Money Order na kwotę £6.4.5 /sześć funtów, cztery szyl., pięć pensów/.

Kwota ta została zebrana w czasie Drugiego Wieczoru Literacko-Muzycznego, zorganizowanego ze współudziałem artystów Lotniczej Czołówki Teatralnej w dniu 18.XII.43. na rzecz jeńców polskich w Niemczech.

Oficer Oświatowy O.Z.L. w B.

* * *

Szeregowi . . . Pam złożyli na paczki świąteczne dla jeńców wojennych w Niemczech kwotę £12.12.10½. —/załączone zapotrzebowania/.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £205,5. 1/2 /słownie dwieście pięć funtów, pięć szylingów i pół pensa/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Jeńcom Wojennym — Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi sumę ogólną zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do Ł1,659,10.9 1/2 /słownie tysiąc sześćset pięćdziesiąt dziewięć funtów, dziesięć szylingów, dziewięć i pół pensa/ i 50 milrejsów brazylijskich.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

"Polska Walcząca" z dniem dzisiejszym wprowadzą kącik humoru pod tym tytułem w opracowaniu Tonyego. Jest on dalszym /niestety bardzo pomniejszonym/ ciągiem wesołego dwutygodnika Czarnej Brygady — "Werinajs," który ukazywał się w latach 1941-42 *na terenie Szkocji.*

W NOWY ROK



—Kawaler przychodzi po cywilnemu na zmianę warty?
—Jestem odkomenderowany na rok — na studia! . . .

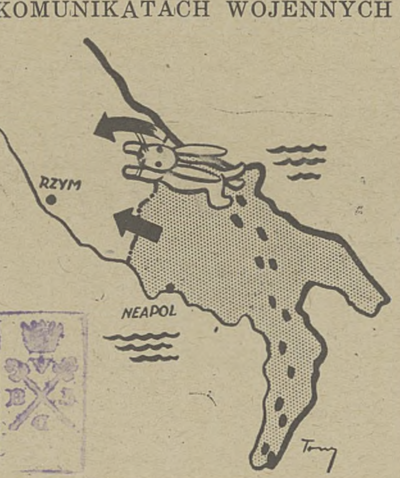
INWAZJA

Więc pierwsze nasze oddziały inwazyjne już wyruszyły ze Szkocji?
—Co też pan mówi? Które?
—Zespół "Dziennika Żołnierza"! Kilka dni temu nastąpiła udana inwazja "Dziennika Polskiego."

W MAŁŻEŃSTWIE POLSKO-SZKOCKIM

—Margo, dlaczego nie przyszyłaś mi guzika do koszuli?
—Sorry! Ten guzik odpadł ci jeszcze przed naszym ślubem. . .

PRZYSŁOWIA LUDOWE W KOMUNIKATACH WOJENNYCH



"Na Nowy Rok — na zajęczy skok" . . .

BUDŻET POLAKA W LONDYNIE

Niech mi pan powie, jak pan sobie radzi w tym Londynie z finansami?
—Bardzo proste. Żyję z ołówkiem w ręku . . . 40% przeznaczam na mieszkanie, 30% na ubranie, 50% na jedzenie, 20% na palenie, a na bary 15% . . .
—Ależ to jest 155%!
—No właśnie i dlatego zawsze mi brakuje. . .

NA WARCIE

—Słuchajcie private, dlaczego wy codziennie legitymujecie kapitana A.T.S. panią Anderson? Chyba powinniście ją już znać?
—Owszem — znam ją bardzo dobrze. To moja teściowa. . .

U LEKARZA PUŁKOWEGO

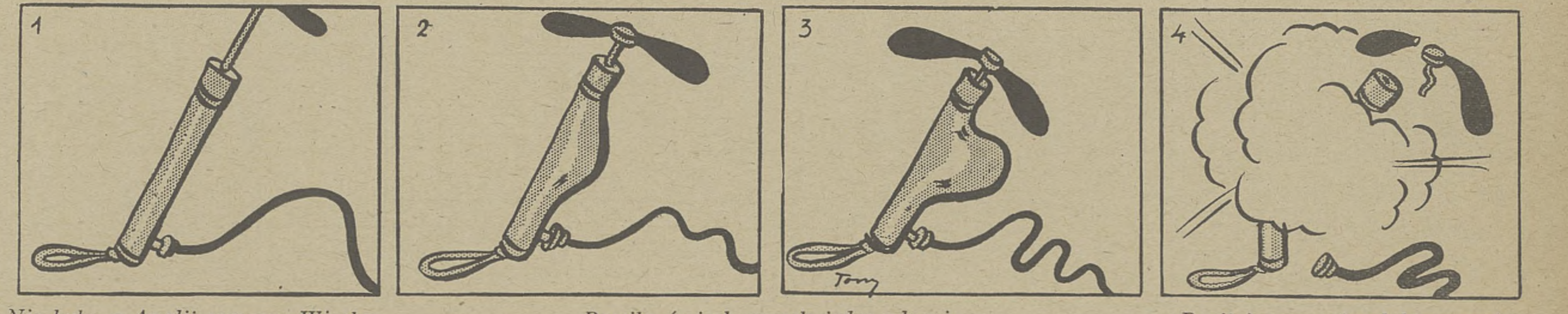
—Lekarz kazał mi odpocząć i wyjechać na jakiś czas. Zastanawiam się tylko dokąd mnie wyśle?
—Do innego lekarza!

SYLWESTER W ROKU 1945



Ach Boże, żeby się wróciły te czasy z black-outem. . .

HISTORIA PEWNEJ POMPKI



Nie było w Anglii znanego Wiecha,
Była ta Pompka—wszystkich uciecha.

Bawiła śmiechem rok jeden, drugi,
I handrze naszej oddała usługi.

Dusił ją, męczył redaktor srogi,
Aż pękła biedna. . .

SPIS RZECZY:

POSZUKIWANIĘ

Wszystkie osoby mogące dać jakąkolwiek wiadomość o ANTONIM I ANIELI LĘCZNAROWICZ oraz o ich dwu synach—ZBIGNIEWIE i JERZYM, proszeni są o nadsyłanie ich do Adm. P.W. pod kpt. U.K.

Pisma na Śr. Wschodzie i w Indiach proszone są o przedruk.

* * *

BIESIEKIERSKI EDWARD, P/34, z miejsc. Małyszki pow. Postawy, woj. Wilno, poszukuje krewnych i znajomych.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63. Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.